

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 28 V. 1950 r.

Nr 21 (252)

STEFAN IGNAR

CHŁOPI W OBRONIE POKOJU*)

Co oznacza nowa wojna dla ciebie, twojej rodziny i dla naszej ojczyzny?

Oto pytanie, na które każdy mieszkaniec wsi, każda matka, każdy młodzieniec winien znaleźć słuszną, prawdziwą odpowiedź.

Odpowiedz nam na to pytanie, obywatelko Plucina ze wsi Michałowa powiat brzeziński, woj. łódzkie.

Najmłodszy twój syn, Michał Pluta, zginął w Oświęcimiu za udział w akcji Batalionów Chłopskich. Przez dwa lata spędzał noce pod saskiem w norze, do której się wchodziło otworem znajdującym się pod psią budą, ale przyszła taka noc, kiedy spał w mieszkaniu i wtedy został schwytany przez katów ozdobionych polamanym krzyżem.

Zięć twój, Stanisław Chmielarski, któremu pomagałaś wychowywać pięcioro dzieci, osieroconych przez wcześniej zmarłą twoją córkę, Marysię, został schwytany przez żandarmów tej samej nocy co Michał, za to, że udzielił schronienia uciekającym z Łodzi chłopskim działaczom podziemnym — został zamęczony w Oświęcimiu wraz z Michałem. Jako babka stałaś się jedyną opiekunką pięciorga sierot, które straciły matkę i ojca.

Odpowiedzcie nam na to pytanie, ludzie ze wsi Szymanowice, pow. Łowicz, którzyście ukrywali i żywili dwoje dzieci żydowskich (jeden chłopiec dziewięcioletni, drugi pięcioletni) i widzieliście, jak ich wykrył i wskazał żandarmom granatowy policjant, Wiatr. Widzieliście, jak gonili, jak ich schwytali, jak na waszych oczach popełnili straszną zbrodnię, zabijając dwóch małych braciszków i kazali zakopać ich na waszej łące pod Retkami.

Odpowiedzcie, mieszkańcy wsi Gać pow. Przeworsk, którzy byliście świadkami rozstrzelania kilku waszych braci.

Odpowiedz wasza brzmi jednogłośnie:

Niech będzie przeklęty ten, kto napada cudzy kraj, kto rzuca bomby na miasta i wsie, kto morduje niewinnych ludzi.

Niech będzie na wieki przeklęty potwór, który nakazuje swym zbiorom mordować małe dzieci! Nie ma potrzeby przytaczać tu przykładów strasznych zniszczeń wojennych. Na obszarze tylko 8 województw zostało zniszczonych i spalonych 356 tysięcy chłopskich zagrod. Wiele tysięcy rodzin chłopskich wyginęło do ostatniego dziecka, a w setkach tysięcy innych rodzin zginęła przynajmniej jedna osoba, jeśli nie więcej. Wskutek wysiedlania i ukrywania się przed łapankami straciło życie lub zdrowie setki tysięcy dzieci i młodzieży.

Wojna grozi nieszczęściem każdej rodzinie chłopskiej.

A czyż, obywatelu Sek z Popielaw i obywatelu Hadław z Sonin obojętny jest dla nas chłopów los 1 miliona 200 tysięcy mieszkańców zburzonej stolicy naszej — Warszawy? Wiedzą przecież, że warszawiaków zginęło około 200 tysięcy, a reszta była więziona, bądź została się po całym kraju. Czyż możemy dopuścić, aby obudowana z takim zapalem i nakładem sił całego narodu Warszawa znowu ktoś próbował rozwaliz w gruzy?

Hitlerowcy wymordowali bądź wyniszczyli w obozach powszechnie znanych na wsi działaczy chłopskich. Zginęli z ich ręki: Maciej Rataj, Irena Kosmowska, Ignacy Solarz, Stanisław Miłkowski, Wojciech Janczek, Alfons Grzesiak, Nikodem Kasperek, Andrzej Czapski, Julian Wierczorek, Karol Maj i wielu innych.

Na terenie samego województwa łódzkiego zostali wymordowani najdzielniejsi działacze powiatowi — wiczarze, behowcy i alowcy, jak Aleksander Banasiak, Kazimierz Dudkiewicz, Wacław Małczak, Michał Pluta, Stefan Cuper, Wincenty Stolarski, ojciec i syn Szymański z Pszczonowa pow. Łowicz (stary Szymański siedział przed wojną w Berezie), Włodarczyk, Stanisław Aleksandrowicz, Stanisław Zamożny, Adam Banach.

Wygubieni zostali nauczyciele, inżynierowie, lekarze, robotnicy, chłopcy i księża. Wojna wyniszczyła naród polski i zrujnowała naszą gospodarkę.

WSPÓŁPRACA ANGLOSASKICH BANKIERÓW Z HITLEREM

Po klęsce Hitlera i po ukaraniu śmiercią głównych jego pomocni-

ków zbrodniarzy wojennych, zdawało się, że wreszcie nikt już nie będzie zakładał pokoju, okupione- go tyłu ofiarami.

Niestety, jednak zło nie zostało wypalone do korzeni. Pozostali ci, którzy, pozornie walcząc z Hitlerem, czekali na krwawe jego zwycięstwo — na ujarznienie olbrzymiego kraju — ZSRR. Nie mogli znieść, że kraj ten uwolnił się od władzy rządów obszarnczo-kapitalistycznych i rozwinął budowę nowego, sprawiedliwego życia wielu zjednoczonych narodów. Do końca wojny czekali na to, aby wydrzeć łup Hitlerowi lub przynajmniej podzielić się z nim i rozpocząć na nowo ssać krew z chłopów i robotników rosyjskiego, ukraińskiego, gruzińskiego, turkistańskiego, jak to robili przy pomocy carów przez minione 100 lat. Przeliżyli się ze swymi siłami Hitler, przeliżyli się anglosascy poplecznicy Hitlera. Mimo, że przez całe lata dla oka tylko wojowali z Hitlerem w Afryce, goniąc się małymi oddziałami po pustyni, aby nie przeszkadzać mu w pokonaniu Rosji. Hitler został pokonany. Oszukiwali oni naród angielski głosząc, że głównym ich celem jest zżamanie zbrodnicego faszyzmu.

Bezsłusne było wołanie wyniszczonych wieloletnią wojną narodów europejskich o drugi front na Zachodzie. Wojska angielskie i amerykańskie wyładowały we Francji dopiero 6 czerwca 1944 r., kiedy Armia Radziecka rozbiła już główne siły hitlerowskie i pedząc napastników znad Wołgi, zbliżała się do Wisły.

To ci ludzie, którzy oczekiwali zwycięstwa Hitlera na wschodzie i nie chcieli oddać jego sił na zachodni front, mają na swym sumieniu miliony poległych i wyniszczonych w niewoli żołnierzy radzieckich. To oni pośrednio dopomogli Hitlerowi do wymordowania 6 milionów obywateli polskich. To oni obojętnie przyglądali się dynamicznym komonom krematoriów i nie dopuszczali wiadomości o tym do szerokiego mas robotniczych swych krajów, aby powstrzymać wybuch oburzenia narodów amerykańskiego i angielskiego.

Kiedy byłem w Londynie w 1946 roku, spotykałem ludzi, którzy dopiero ode mnie dowiadywali się o mordowaniu milionów ludzi w piecach krematoryjnych i o polowaniu na dziesiątę żydowską. Nawet tamtejsi Żydzi o tym nie wiedzieli.

NAŚLADOWCY HITLERA

A więc po słomotnym upadku Hitlera pozostali przy życiu i przy władzy ci zbrodniarze, którzy po-

magali Hitlerowi, którzy go przygotowali, zaopatrzili w broń i skierowali do zbrodni ludobójstwa. Pozostali główni podlegacze, wojenni — amerykańscy, angielscy, francuscy, włoscy i belgijscy bankierzy i fabrykanci, którzy żyją z potu i krwi ludu pracującego. Pozostali rentierzy zgarniający procent od kapitału wywiezionego do Indii, do Argentyny i Australii.

Bankierom potrzebna jest niewola mas chłopskich i robotniczych. Im więcej milionów chłopów i robotników znajduje się w niewoli bankierów, fabrykantów i obszarników — tym większe zyski płyną do ich kas. Im większy głód dręczy niewolników — tym więcej złota mogą trwonić Rockefelleri, Rotszyldy, Noble, Fordy, Kruppy i ich pomocnicy z rządów kapitalistycznych.

Ale trzeba przyznać, że ci władcy świata doznali znacznych strat od 1917 roku. Z jarmu ich wywarły się narody imperium carskiego i utworzyły pierwsze na świecie niezależne państwo ludowe, służące nie bankierom zagranicznym, a robotnikom i chłopom. W ogniu bohaterskiej Rewolucji Październikowej powstał Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, wyzwalał 200 milionów — najpotworniej — wyzyskiwanego przez bankierów ludu. Dalsze straty ponieśli kapitaliści amerykańscy i angielscy, francuscy i niemieccy w drugiej wojnie światowej. Zamiast bowiem spodziewanego zwycięstwa nad masami ludowymi w Związku Radzieckim, utracili ją nad Polską, Czechosłowacją i innymi krajami europejskimi wraz ze wschodnią częścią Niemiec. Wreszcie spotkał ich niesłychany cios — strata blisko 500-milionowego kraju chińskiego, w którym rządził się od wielu lat, jak szare gęsi, patrząc obojętnie na miliony Chińczyków padających z głodu wskutek zbrodnicego wyzyskiwania przez nich tego szlachetnego narodu. Chcąc usprawnić uciśk narodu chińskiego, wmasowali narodom europejskim, że Europie grozi zalew przez urwane z łańcucha kapitalistycznego Chin. Dziś już wiemy, dla kogo wyzwolenie Chin było niebezpieczne.

Jest to bowiem dla kapitalistów niebezpieczeństwo nie tyle złote, ile czerwone, robotniczo-chłopskie. Rewolucyjna czerwień ludu chińskiego łączy się i harmonizuje z czerwienią rosyjską, ukraińską, polską, francuską i niemiecką. Chłop chiński uprawiający pracownice pole ryżowe to mój i twój brat, chce on tak jak ja i ty swą pracą karmić swe dzieci, piąć się do światła i kultury, bronić się

W NUMERZE
J. SZCZEPAŃSKI — Propaganda wojenna. P. CHMURA — Święto sojuszu.
ST. PIĘTAK, W. MACHEJEK, B. CHECINSKI, J. ANIOŁ — Wiersze.
J. PIÓRKOWSKI — Lonty rewolucji. M. NIEWIAROWSKI — Nowi ludzie.
T. PAPIER — Partia przyjmuje Koselara.
E. MARTUSZEWSKI — Brygadziści Wnuk. S. SKULSKI — Pan sklepikarz.
M. LISTOWSKI — Bogacz pocztowy. L. FLASZEN — Nowele Zielińskiego.
B. CIRLIĆ — Powieść Stojanowa.

Aleksy Surkow

Przemówcie głośniej, uczciwi ludzie!

Nad lasem wczesna jesień rozpostarła

W łód ścięte skrzydła zórz.

Gniew, co ognistym kłębkim ugrzązł w głębi gardła,
Każe ci: „Przemów już!”

Dojrzała gorzka prawda i huczy jak orkan,

Gryząca i surowa.

W Paryżu i w Londynie, w podchmurzym New Yorku
Niech słyszą twoje słowa.

Jeszcze w miastach, gdzie dotąd panuje zniszczenie,
Łzą świecą oczy wdów,
Lecz odzianych w żalobę lat minionych cierpię
Chcą okryć ziemię znów.

Śmiecie słów i spłowiałe atlantyckie mapy

Śpią w skrzyni jak w lamusie.

W stalowych rękawiczkach chciwe, ciemne łapy
Szperają po globusie.

Chroniczni łgarze z trybun głoszą swe oracje,

O pokoju bajdurząc.

Naczelnicy ich sztabów poszli w dyplomację
Tuż po wojennej burzy.

Dziś ich generałowie bardzo pokochali

Poselskich domów jasność

I znów pejzaże Baku i wizja Uralu

Nie dają komuś zasnąć.

Demonstrują wybuchy bomby atomowej

Na pokaz jeszcze raz,

Podczas gdy buntowniczo podnoszą swe głowy
Resztki gnębionych ras.

Panoszą się mędrkowicie, których nędzna dusza

W kłamliwym grzędzie słowie.

Ja wiem — Giordana Bruna i Galileusza

Spalili ich przodkowie.

Cuchnący kłam nad światem wciąż oszukiwany.

Posępna mgła rozpina

I coraz głośniej, głośniej brzmi za oceanem

Wczorajszy ryk Berlina.

Sprzedajne gryziopiórki, niczym wściekle pieski,

Oszekują cię codziennie,

O, miłujący pokój ludzie mój radziecki,

Bohaterski narodzie!

Kiedy z popiołu, z ruin, z wojennego „wczoraj”

Dźwigasz swój dom od nowa,

Ozernia cię ich nędzna stuletnia sfera

Potokami szkalowań.

Patriota dochodów z Wall Streetu, złowieszczy

Rabus o chciwych łapach,

Łotrzyk w płonącej czapce bezustannie wrzeszczy:

— Trzymaj złodzieja, łapaj!

A my tym zaprawianym stale słowem bożym

Krzykiem pełnym bredzenia

Obarczyć ich sumienia na amen nie możemy,

Bo nie mają sumienia.

Gdzież tu można zawiesić i próbę i plomby?...

Bardzo hojne te chłopcy

Bez przerwy pchają figę atomowej bomby

W usta głodnej Europy.

Pobrzękując szabelką, siejąc przerażenie,

Wrzeszczą, ryczą i kłamią,

Zdzierają przy tym bliźnim swym niepostrzeżenie

Koszule z chudych ramion.

Szantaże obowiązkiem nazwawszy wysokim

Łżą nie gorzej niż Kain,

Wyciskając ostatnie, już ostatnie soki

Z wszystkich krwawiących krain.

Krwawy zapaszek wojny i dziś ich zachwycą,

Mile łechce im nosy,

Lecz historia obróci plany ich na nice,

Bo świat ma wojny dosyć!

Wczorajszej wojny ostra i głęboka rana

Wytrąci z dłoni im miecz

I w trzewiach całej ziemi nie starczy uranu,

By pchnąć historię wstecz.

Już widzę — wolne ludy niosą śmierć tym katom,

Niechybnie zginą oni.

Zbrodniarzy ani dolar, ni zbudzony atom

Od sądu nie uchroni!

Zeby znów nie racyły śmiercią setki lud cię,

By nie płonęły mury, pewne było życie,

Uczciwi ludzie, głośniej do świata przemówcie,

Ze zbiorów i morderców maski ich zdegrzyście!

przełożył Włodzimierz Słobodnik

(dokończenie na str. 2)

*) Fragmenty broszury na „Święto Ludowe” pod tytułem „Chłopi w obronie pokoju”.

CHŁOPI W OBRONIE POKOJU

(Dokończenie ze str. 1-cj)

Drugą przeszkodą w rozpętaniu nowej wojny stanowi dla imperialistów¹⁾ brak narodów, które by chętnie poszły w szeregi napastniczej armii, aby zajmować cudze kraje. Amerykanie i Anglicy zawsze tak wojowali, że na front wysyłali cudze wojska pod swoją komendą. Tak było w pierwszej wojnie światowej, a podobnie, jak wiemy, było i w ostatniej wojnie. W interesie Anglii walczyła Polska, Francja, Jugosławia, Nowa Zelandia, Australia i inne kraje. Amerykanie i Anglicy chcieli w ten sposób użyć i Armii Radzieckiej, lecz to im się już nie udało. Musieli oni na gwałt pędzić do Berlina, aby móc się w nim choć zacząć, kiedy się spóźnili, że Związek Radziecki bije Hitlera dla wyzwolenia swego i innych krajów, a nie dla zwiekszenia zysków anglosaskich bankierów.

Dziś brak jest narodu, który by chciał się stać amerykańskim miejscem armatnim. Obecnie rolę się zmieniły i Ameryka chce użyć za swe narzędzie tych narodów, które dawniej same prowadziły wojnę cudzą krwią. Przychodzi kolej na Anglię, aby się biła za interesy największych w świecie bankierów amerykańskich. Wiemy jednak, że Anglicy nie są skorzy do takich poświęceń.

Naród francuski natomiast już zdecydowanie oświadczył, że nigdy nie będzie walczył ze Związkiem Radzieckim. Podobnie mówią robotnicy i chłopcy włoscy.

Pozostaje więc Amerykanom szukać najemnego żołdactwa wśród Niemców w strefie zachodniej, którzy zostali zaprawieni przez Bismarcka, Wilhelma i Hitlera do napadów i mordowania innych narodów. Ale i tu jest sprawa trudna. Po pierwsze, kto raz ucieka spod Moskwy, ten nie ma ochoty wybrać się na drugą, jeszcze bardziej niepewną próbę. Po drugie, w Niemczech rosną dziś z dnia na dzień siły ludowe przeciwimperialistyczne i to nie tylko w Niemieckiej Republice Demokratycznej, lecz i w tzw. Trizonii²⁾, czyli pod okupacją trzech mocarstw zachodnich.

Jeśli reakcja niemiecka tak zjadliwie napada w swych mediach i gazetach na Polskę i Związek Radziecki, to dlatego, że ma nadzieję uzyskać korzyści od Ameryki bardziej za pozorną chęć walki z krajami wschodnimi niż za rzeczywistą gotowość do marszu na wschód pod amerykańską komendą. Ponadto jest powszechne przekonanie wśród ludności Niemiec Zachodnich, o czym się oświadczyło przekonaniem, będąc tam w 1946 r. że w razie sprowokowania wojny przez niepożyczałych polityków amerykańskich, Armia Radziecka nie tylko zajmie natychmiast terytorium Niemiec Zachodnich, lecz posunie się bez większego oporu o wiele dalej na zachód.

Drugą nadzieję na zwerbowanie zaborczych pułków stanowi pokonana Japonia. Jednak i tam będzie niełatwa sprawa. Wypędzenie Czang Kai-szeka z Chin znacznie utrudniło to plany. Ponadto naród japoński głównego wroga widzi właśnie w imperializmie Stanów Zjednoczonych i chętnie skorzysta z okazji, aby wyzwolić się spod okupacji, przebudowując ustroj w kierunku ludowym.

Jest więc wątpliwe, czy organizatorom nowej wojny uda się zebrać większe ilości najemnego żołdactwa z obsadzonych okupacyjnymi wojskami krajów. Narody tych krajów nie chcą beznadziejnie ginąć za sprawę swych pogromców.

Czy można obronić pokój? Mimo tak uspokajającego obrachunku sił wojny i pokoju niebezpieczeństwo rozpętania nowej wojny istnieje. Tonacy chwytą się brzytwy — mówi przysłowie? Imperialiści już wielkie razy napadali na cudze kraje, choć niejednokrotnie ponosili klęski. Przykładem tego jest pochód Hitlera na Moskwę po tak fatalnym wyniku podobnej wyprawy Napoleona i po przegranej przez Niemców pierwszej wojny światowej.

Gdyby jednak amerykańskim podżegaczom udało się rozpętać nową, zbrodniczą wojnę, to wynik tej wojny jest już z góry przesądzony. Zniszczeń istotnie mogliby oni dokonać Niemczech, lecz musieliby zginąć razem z całym ustrojem kapitalistycznym.

W roku 1934 Stalin, oceniając zbrojenia w Niemczech, we Włoszech i Japonii, powiedział: „Wszystko zmierza wyraźnie ku nowej wojnie”.

Widząc zaś, że bankierzy anglosascy są skłonni popierać faszyzm w napadzie na ZSRR ostrzegł ich:

„I niechaj nie skąra się na nas panowie burżuazie, jeżeli najazutrz po takiej wojnie nie doliczą się niektórych bliskich sobie rządów, dziś „z bożej łaski” szczęśliwie panujących.”

Nie ulega chyba wątpliwości, że druga wojna przeciw ZSRR doprowadzi do zupełnej klęski napastników, do rewolucji w szeregu krajów Europy i Azji i do rozgromienia rządów burżuazjno-obszarniczych tych krajów.”

¹⁾ Imperialiści to ludzie, którzy dążą do podboju innych krajów, aby w nich panować politycznie i gospodarczo.

²⁾ Trizonia — trzy strefy okupacyjne w Niemczech Zachodnich, amerykańska, angielska i francuska, złączone pod kierownictwem amerykańskim.

Oto zapowiedzi Stalina głoszone na 5 lat przed wybuchem drugiej wojny — jak widzimy — dokładnie potwierdzone faktami.

Wojna, przed którą przestrzegał Stalin, wybuchła. Panowie burżuazie nie doliczyli się niektórych bliskich sobie rządów, to znaczy rządów obszarniczo-kapitalistycznych, które panowały w państwach Europy środkowej i południowej. Napastnik poniósł zupełną klęskę, a w Polsce, Czechosłowacji, Bułgarii, Rumunii, na Węgrzech, w Albanii, na Korei i w Chinach rewolucja rozgromiła rządy burżuazjno-obszarnicze tych krajów.

Jeśli dziś Stalin mówi, że pokojowe współistnienie krajów o różnych ustrojach jest możliwe, jeśli dziś Związek Radziecki stoi na czele wielkiego obozu pokoju i wzywa wszystkich ludzi dobrej woli do walki o pokój, jeśli przywódcy światowego Ruchu Pokoju twierdzą, że zamiary podżegaczy wojennych mogą i powinny być sparaliżowane zdecydowanym wystąpieniem przeciw zbrodniarstwom wojennym, to są dostatecznie mocne podstawy wiary w skuteczność okiełznania nieodpowiedzialnych awanturników i do powstrzymania ich od nowej zbrodni ludobójstwa.

Wola walki o pokój wyraża dziś całą ludzką przez setki milionów podpisów, składanych pod apelem o zakazie broni atomowej.

Twój podpis, polski chłopie, matko-chłopko, dziewczyno wiejska i młodzieńcze, jest bardzo ważny.

Przeszło 100 lat temu książę Piotr Sciegieny, proboszcz w Chodlu, tak nauczał chłopów, swych braci — ponieważ sam był chłopskiego rodu:

„Nie dopomagajcie, dzieci moje, waszym nieprzyjaciółom do gnębienia samych siebie, ale owszem, broncie się i nie dopuszczajcie czynić sobie i bliżnim krzywdy — a nieprzyjacielem wasi nie odważą się męczyć, bić i niszczyć was. Wojna jest najgorszym zlem na świecie. Wojna niszczy wszystko, sprowadza głód, mór i powietrze.

Panowie nigdy by nie wygrali, gdyby im chłopcy nie pomagali. Należy przeto powiedzieć chłopom, aby panom nie pomagali.

Szlachetna była nauka księdza Piotra Sciegieny, który wzywał chłopów polskich i rosyjskich do zdecydowanego buntu przeciw panom i przeciw zaborczym wojnom, wygrywającym krwią chłopów polskich lub rosyjskich. Lecz głos jego był słyszany tylko w Kieleckim i Lubelskim. Nie mógł on dotrzeć nawet do wszystkich chłopów w Kongresówce, a czy do niego mówią o Chinach, czy Ameryce. Dla szlachetności ludzi pragmatycznych pokój obejmuje cały świat. A tylko wola wszystkich przeciwników wojny może zdecydować o wygraniu największej i najważniejszej dla całej ludzkości sprawy.

Wyobraź sobie chłopie polski linie frontu, gdzie Związek Radziecki zajmuje środkowy, najgłośniejszy i najdłuższy odcinek, a skrzydła obsadzone są przez inne narody, a między innymi Polskę, gdzie chłopcy strzegą połowy odcinka polskiego. Naprzeciwko stoi zażądliwy, ale słabszy wróg, który wie, że nie przełamie frontu pokoju uderzonym na całą linie, lecz może mu się to udać, jeśli uderzy w jedno miejsce. Gdyby zauważył, że polscy chłopcy przestali czuwać, wtedy starałby się zrobić niespodziewanie wyłom na naszym odcinku.

Czy nie taki zamach chciał zrobić Mikołajczyk?

Po to przystali go amerykańscy bankierzy, a sam Churchill (Czerzył) dał mu instrukcję: uśpić polskich chłopów i przełamać front pokoju poprzez przywrócenie władzy burżuazji w Polsce.

Na szczęście wtedy żeśmy nie posłali i udaremniliśmy Mikołajczykowski dywersję, w czym nam bardzo pomogli robotnicy.

Rozumiesz więc, matko-chłopko i ty, ojciec gromadki dzieci, że choć Naród Polski niewielki jest w porównaniu ze Związkiem Radzieckim czy Chinami, to jednak stanowi potężną siłę. Możemy więc i powinniśmy odegrać wielką rolę w paraliżowaniu przygotowań wojennych. Zdecydowana wola przeciwników jest wojnie, wyrażona w słowie i czynnie przez każdego chłopca, przez każdą matkę i dziewczynę wiejską, a w sumie potężny protest 14 milionów polskich chłopów, odgrywa wielką rolę w walce o utrzymanie pokoju. Jest rzeczą pewną, że wszyscy robotnicy, ich żony i dzieci podpiszą apel o potępieniu rzędu, który by pierwszy użył broni atomowej do napadów na cudzy kraj. Czyż ludność wiejska nie pragnie utrzymania pokoju równie gorąco jak robotnicy? Droga do lepszego bytu prowadzi jedynie przez fabryki i pola rządzone przez chłopów i robotników, gdzie uczy się człowiek w spokoju może pracować i wytwarzać coraz więcej maszyn, towarów, zboża i mięsa, aby osiągnąć dostatek, nakarmić i odziesiąć swe dzieci, a w wolnych od pracy godzinach i w czasie świąt zajmować się książką, sportem, muzyką i wychowaniem zdrowych dzieci.

Obywatele chłopcy. Kobiety i młodzieży wiejska, podpisując zażądanie zakazu broni atomowej i napadów na jakikolwiek naród.

STEFAN IGNAR

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

GENEALOGIA

Ślupy, które tu przez wieś ciągną się linia prosta, za sprawą pracowitych rąk z miasta, wyrosły. Wieś długo, długo spała w zaciemnionej ciszy, zanim w niej kto wyraził głos ze świata usłyszał. To się stało, gdy drogą od miasta wiodącą, po ślupach poszły druty na słońcu błyszczące — ponad dachami stajni, obór, stodoł, chałup, sieć usnuł nowoczesny, postępowy pajak. W ciemny wieczór, na miejscu naftowego znicza, wschodzi blask przyżwoity i sprawiedliwie poświeca oczom, które więziła niewola ciemności. Prosta droga z Warszawy głos się niesie przez głośnik, Literę każdą widać wyraźnie i jasno na kartkach książki — wsi ją oddano na własność. Zmieniło się na widne teje wsi oblicze — Chłopi chcieli — pomogli im robotnicy.

Brat dziadka Jaśkowego ze wsi Dąbkowice poszedł do miasta Łodzi — we wsi nie starczało dla niego życia. Dawno nie żyje, zdrowie wypłuił z zębami razem — W jednym ze strajków, dostał w twarz kolbą okutą żelazem. Synowie budowali kapitalistyczną Łódź swoją pracą, ssał z nich fabrykant życie i jak chciał, placił. Mimo, że im porządek taki głowy podnieść nie dawał, przez długie lata walczyli o robotnicze prawa.

W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym, Przyjechały z Łodzi do Dąbkowic samochody w piętek. Wieś biedna — śmiech było marzyć o elektryfikacji, półki czas nie oddał rządów w ręce ludowej racji. Na podwórku Jaśka Kurasa — prosty przypadek, wylądował wnuk tamtego, dziadkowego brata, Władek, przyjechał z Łodzi fachowiec z elektryfikacyjną ekipą, trafił na rodzinna wieś dziadka, co była dawniej wsią lichą. Trzeba było walczyć o to długo i niełatwo, aby brat robotnik, bratu chłopu mógł założyć światło. Wiesna wypuścił plugi wzdłuż Dąbkowickiej wspólnoty, przy kierownicy traktora chłopski potomek, robotnik.

Łódź, 1950 r.

JAN SZCZEPAŃSKI

„ARGUMENTY” PROPAGANDY WOJENNEJ

Jakimi argumentami posługuje się propaganda wojenna? Przejrzyjmy pokrótce te argumenty.

1) Wojna jest nieuniknioną koniecznością życia społecznego — oto naczelną twierdzenie reakcyjnej „nauki” uzasadniające w różny sposób. Pierwszy argument na korzyść tego twierdzenia wysuwany przez zwolenników wojny, jest argument historyczny. Brzmienie następujące: na przestrzeni dziejów wojna nieodłącznie towarzyszyła społeczeństwu ludzkiemu i w czasach najwcześniejszych, w których ludzkość nie osiągnęła cywilizacji, to wojna była jedyną formą życia społecznego. Do tego zestawienia dołącza się jako argument o bezsilności wszystkich środków mających zapobiegać wojnie, licząc traktaty pokojowe zawarte w dziejach europejskich, które nigdy nie mogły przyczynić się do utrzymania pokoju. Niektórzy historycy obliczają tę liczbę na 8 tysięcy.

Liczbę lat wojny w poszczególnych stuleciach w niektórych krajach:

Kraj	1501-1600	1601-1700	1701-1800	1801-1900
Anglia	54,5	43,3	55,5	53,5
Francja	60,5	46,5	50,5	35
Rosja	78,5	57,5	49,5	53
Prusy	—	58,5	31	13

Tabela ta nie obejmuje wojen kolonialnych. Do tego zestawienia dołącza się jako argument o bezsilności wszystkich środków mających zapobiegać wojnie, licząc traktaty pokojowe zawarte w dziejach europejskich, które nigdy nie mogły przyczynić się do utrzymania pokoju. Niektórzy historycy obliczają tę liczbę na 8 tysięcy.

Cyfrы te rzeczywiście mogą działać deprymująco. Lecz ta argumentacja chociaż bardzo składowa jest łatwa do obalenia. Mianowicie wykazujemy, że nie wierzymy już w MAGICZNA SKUTECZNOŚĆ uroczystych zobowiązań pokojowych, mających zapobiec wojnie. Wiemy już dzisiaj, że wojna jest zjawiskiem społecznym, towarzyszącym pewnym ustrojom, np. ustrojom kapitalistycznym, uwarunkowanym obiektywnymi procesami gospodarczymi i politycznymi, zachodzącymi w tych

ustrojach, posiadamy również wiedzę o prawidłowościach w przebiegu tych procesów. Nauka marksistowska dostarczała nam wiedzy o klasowych przyczynach wojen i dlatego chodzi nam nie tyle, o to, aby jakieś rządy złożyły nowe uroczyste deklaracje, że nigdy nie rozpoczną wojny, lecz o TAKIE UŁOŻENIE STOSUNKÓW GOSPODARCZYCH I SPOŁECZNO - POLITYCZNYCH W ŚWIECIE, aby wojny nie mogły już powstać. Słowem walczymy o likwidację obiektywnych przyczyn wojen, a nie o wyrażenie ich w postaci uroczystych deklaracji. Wobec tego, co jest prawdziwym powodem wojen, nie możemy się ograniczać do obietnic, że wojny nie będą już, lecz musimy wypracować warunki, w których wojny nie będą już możliwe. Wobec tego, co jest prawdziwym powodem wojen, nie możemy się ograniczać do obietnic, że wojny nie będą już, lecz musimy wypracować warunki, w których wojny nie będą już możliwe.

Czy jednak już obecnie, kiedy nie nastąpiła jeszcze likwidacja wszystkich obiektywnych przyczyn wojny, tj. polki na świecie obok państwa socjalistycznego i państwa budującego socjalizm — istnieją ustroje kapitalistyczne szarpane w epoce imperializmu, szczególnie głębokimi sprzecznymi siłami gospodarczymi i społecznymi, które mimo jawnej agresywności państwa imperialistycznych może być utrzymany?

Po wszechstronnej analizie sytuacji należy odpowiedzieć: TAK. WOJNA MOŻLIWA JEST DO UNIKNIĘCIA JUŻ DZISIAJ. W stosunku do okresów poprzednich wzrostowi bowiem poważnie siły antyimperialistyczne nie tylko ZEWNETRZNE, uosobione w ZSRR i krajach demokracji ludowej lecz także WEWNĘTRZNE przez uaktywnienie polityczne i konsolidację klas pracujących w łonie samych państw imperialistycznych. O ile więc klasy pracujące całego świata uświadomiwszy

Opierzony puchem cienistego spokoju, w tej oazie szumiącej zielono, siedział sobie u kapitalistycznego Pana Boga za piecem, pan baron włókienniczy Leonard. Tu w grabowej alejce głębokiej, skąd dzisiaj rozbiega się zakochanych śmiech, o kilka lat wstecz słyhać powolne, leonardowe kroki — W świątynię kapitalistycznego dumania tej, rysowały się sprawnie zaborcze marzenia. Przeniesione następnie do klubowego w gabinecie fotela, nad wierzchołkami południowych drzew, z cieplarnianej ziemi, konkretniały i wyraźnie powstawały z cienia, wydłużały się w macki dokładnie obliczone i zmierzające prosto do wycieńczonych robotniczych piersi.

Pan baron włókienniczy Leonard był obywatel państwa i świata — Szedł ręką w rękę z baronami — pajakami, siedzącymi okrakiem na węglu, nafcie, wapnie i stali. Oni spolem krew pili oni spolem tańczyli, z zimną myślą, nabój po naboju, nowe wojny budowali.

Dzisiaj ci wszyscy, którzy kiedyś przez szpary w parkanie, zapuszczali lakomicie oczy do Leonarda parku, zażywają w nim swobodną pierś, przeznaczonego dawniej, na kapitalistyczny użytek — powierza. Wszyscy, prócz tych, co żelazem leonardowych kamratów wygnani z życia — odeszli.

Z otwartych okien pałacu ulatuje i łączy się z wolnym szumem drzew, pachnący młodością głos dzieci, uczących się POKOJU!

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

feodalne, to wychowanie w takim ustroju jest nastawione na wpajanie wojowniczości i cnót wojennych w człowieka. Lecz możemy już dzisiaj naukowo przewidzieć taki typ społeczeństwa i organizacji współzawodniczości, że wojna zostanie wyeliminowana, tj. typ społeczeństwa socjalistycznego. W takim społeczeństwie wychowanie kształtowane będzie człowieka pokojowego a nie wojowniczego. Walka przeciwko wojnie nie ogranicza się tylko do propagandy antywojennej, lecz polega na całym systemie wychowania, na całym systemie życia społecznego, na całym systemie życia państwa, na całym systemie życia rodziny, na całym systemie życia jednostki. W ten sposób obalamy argumentację, starając się wpisać przekonanie, że wojna jest nieunikniona, ponieważ wynika z biologicznej i psychicznej natury człowieka.

3. Wreszcie trzeci argument przeciwko alacji antywojennej formułowany bywa następująco: wojna jest nie tylko nieunikniona, w o j n a jest również p o t r z e b n a dla rozwoju ludzkości. Wojna jest czynnikiem postępu społecznego i kulturalnego i przynosi ludzkości korzyści znacznie przewyższające spowodowane szkody i cierpienia. Wojna pobudza wytwórczość, mobilizuje energię narodów, działa jednolicznie na wyczerpanie społeczeństwa, utrzymuje ducha przedsiębiorczości i męskości, nie dopuszcza do zniechęcenia i zwądnienia narodów, powoduje kontakty i zbliżenia między różnymi narodami i kulturami działając w ten sposób zapładniając na kulturę narodową; dalej — argumentują zwolennicy tej teorii — wojna jest również czynnikiem selekcji biologicznej, gdyż przygotowanie do wojny wymaga podnoszenia tężyzny i jakości biologicznej narodów, wojnę przetrzymują jednostki najsilniejsze, co przyczynia się do podniesienia wartości narodów. Wojna eliminuje również narody „mniej wartościowe”, co zdaniem przedstawicieli tej teorii, również przynosi korzyść postępowi ludzkości.

Cała ta argumentacja nie wytrzymuje krytyki pod żadnym względem. Wojna przynosi zniszczenie i nędzę, obniżenie stopy życiowej i choroby. Kulturalnie, wojna paraliżuje działalność twórców kultury, odrzuca ich od warsztatów pracy, pozbawia warunków twórczości. Straty kulturalne ostatniej wojny nie dają się w ogóle oszacować. Jakże może służyć postępowi ludzkości palenie bibliotek, muzeów, szkół i pracowni naukowych, powoływanie pracowników naukowych na front, narażanie ich na śmierć i choroby? Argumentacja, że wojna ostatnia przyniosła odkrycie radaru, penicyliny, energii atomowej nie wytrzymuje krytyki. Odkrycia te byłyby dokonane i bez wojny, wojna natomiast spowodowała spalenie ich wykorzystania. I wreszcie jak ma służyć postępowi społecznemu ograniczanie praw człowieka, podporządkowanie społeczeństwa klom wojaskowym i przemysłowców, panowanie brutalnej siły i skierowanie całej energii społeczeństwa dla niszczenia i zabijania członków innego społeczeństwa? Wojna była i jest katastrofą społeczną. Lecz dziś nie musimy jej oczekiwać bierne z założonymi rękami, pojmując ją jako dopust boży lub jako nieuniknioną konieczność. Walczymy o pokój widząc w nim gwarancję postępu i lepszego życia.

JAN SZCZEPAŃSKI.

W walce o pokój, w walce z imperialistycznymi podżegaczami wojennymi — mocno musi się zaznaczyć głos nauki polskiej.

Zarówno my — jak i nasi koledzy z krajów, dotkniętych wojną, wiemy najlepiej, czym jest wojna dla nauki.

Nasze warsztaty pracy, nasze laboratoria, biblioteki, archiwa, materiały, zbierane przez wiele lat — spłonęły i przepadły.

Lista wybitnych uczonych i intelektualistów polskich, którzy stracili życie w czasie wojny, zajmuje cały tom druku. Nic więc dziwnego, że właśnie u nas w Polsce doszło do zorganizowania kongresu intelektualistów we Wrocławiu, kongresu, który pierwszy wysunął — na skalę międzynarodową podjętą — akcję obrony pokoju. Do tej akcji przyłączyli się uczeni całego świata. Mamy szczególnie podziw i uznanie dla tych uczonych w świecie imperialistycznym, któ-

rzy czynnie walczą o pokój, mimo szyskan i represji, nie omijających nawet największych powag naukowych.

Ale i oni i my walczyliśmy o rzeczy, które są zasadniczej wagi dla nauki. Nauka nie jest czymś co jest oderwane od życia. Nauka wychodzi z tego życia i wpływa na jego dalszy rozwój. Nauka stwarza nowe warunki dla bytu człowieka, dla zbudowania lepszego, sprawiedliwego ustroju społecznego. I dlatego dla nas, którzy czynnie przygotowujemy budowę socjalizmu — ustroju, który usuwa raz na zawsze groźbę wojny — podpisanie apelu w obronie pokoju jest tylko wyrażeniem naszych prawdziwych dążeń, by zapewnić ludzkości nieskrępowane możliwości dalszego rozwoju. Ten rozwój jest możliwy przy pełnym rozkwicie nauki, a nauka rozkwitać może tylko w warunkach trwałego pokoju.

STANISŁAW ARNOLD

JERZY PIÓRKOWSKI

ZAGŁĘBIOWSKIE LONTY REWOLUCJI

Wiele jest u nas jeszcze zapy-
lonych choć żywych w bar-
wie kart historii polskiego
ruchu robotniczego, które w trudzie
i mżole odsłaniały, troskliwie od-
szukujemy ich brakujące strzępy,
aby niczego nie uronić z rewolucyj-
nej przeszłości.

Ta przeszłość, do niedawna jeszcze
plągowana przez burżuazję i zasy-
pawana wobec dorastających no-
wych pokoleń grudą zapomnienia, ta
przeszłość wydzierana przez lud, jak
mówi poeta, „z gardła konfiskat” i
jak nowa klechda podawana często
z ust do ust, dzisiaj coraz natarczy-
wiej woła o swego historyka, o swego
poetę, dramaturga czy powieściopis-
arza.

I ta przeszłość jest powszechna.
Dojrzymy ją wszędzie niemal, gdy
tylko uważnie ogarniemy wzrokiem
jakikolwiek odcinek naszego rosną-
cego życia. Tam wszędzie dostrzeże-
my korzenie, dostrzeżemy źródło dzi-
siejszych sił twórczych, produkcyj-
nych zwycięskiej klasy. W dzisiej-
szej czerwieni sztandarów kryje się
cała wierność, cały ogrom nieraz
bolesnych, nieraz kłeszkowych, a prze-
cież ostatecznie zwycięskich doświad-
czeń polskiego nurtu rewolucji.

Jedną z piękniejszych kart tej hi-
storii jest niewątpliwie okres pracy
i walki Rad Delegatów Robotniczych
w Polsce w latach 1918—1919, zwa-
żając zaś Rady Delegatów Zagłębia
Dąbrowskiego. Ich praca i walka
zrodziła się z tego samego hasła,
jakie wydał rok przedtem lud rosyj-
ski idący do szturm na Pałac Zi-
mowy:

— Cała władza w ręce Rad!

Był to głos rozpoczynającej się re-
wolucji.

Rok 1918 malował ten sam pejzaż
na ziemi polskiej, co i na ziemi ro-
syjskiej. Niemcy kajzerowskie, wy-
cienieczone czteroletnią wojną, były z

zajadłością, dobijane przez swych
starszych braci: imperializm anglo-
amerykański i francuski. Przez całe
rozległe obszary okupacji niemieckiej
na wschodzie, jak elektryczny

prąd przebiegała fala rewolucyjnego
przyplwu. Główną elektrownią tego
niemałego ogólnoeuropejskiego pory-
wu mas ludowych jest Piotrogród.
Tam działa wielki mózg rewolucji—
Lenin, jej wielkie ramie—Stalin,
jej wielkie serce—Dzierżyński. Tam
żyje ona po zwycięskim porożeniu
w wale języcznej, ale broniącej przez
proletariat całego świata radzieckiej
kolebce. Pierwsza rewolucja w dzie-
jach świata, która zrodzona w krwa-
wej kąpieli przyszła przeciw z wiel-
kim słowem na ustach—pierwszym
słowem socjalizmu: pokój!

Pokój ludziom pracy, narodom,
miastom i wsiom... A więc: wojna
wojnie, nędzy, wyzyskowi, śmierci,
głodowi...

A tych nieodłącznych jak cień zja-
wisk ustroju kapitalistycznego pełno
było i u nas. Panował ostry kryzys,
godzący swoimi ostrzami głównie w
masy ludowe. Przemysł—zniszczony
albo wywieziony przez carat. Sza-
łała warszawska giełda, szalał czar-
ny rynek. Z dnia na dzień rosła ar-
mia bezrobotnych, z dnia na dzień
rosła drożyzna. Towarzyszyła temu
nieodłączna siostrzyca kryzysu: sy-
stematyczna obniżka i tak już gło-
dowych niemal płac. Po kraju prze-
walały się olbrzymie, milionowe ma-
sy pracujących robotników, wywie-
zionych w okresie wojny do Niemiec
i Rosji. Wrzawa w miastach: rozpo-
częły się ostre strajki, robotnicy ży-
wiłowo okupowali fabryki. Wrzawa
na wsi: formał i chłop małorolny, po-
czął nieśmiało jeszcze, ale chwie-
nie sięgać po obszarniczą ziemię. Niebo
poczęło barwić pierwsze łuny palo-
nych dworów. Niejednokrotnie chłop
żywiłowo przystępował do dzielenia
pańskich pól, poczynił na nich nie-
kiedy, jak na swoim, siac i orać.

Ten groźny pomruk proletariatu
miast i wsi rozlegał się coraz silniej,



MARIAN NIEWIAROWSKI

ROSNAŃ NOWI LUDZIE

Przed wszystkim — nie za-
stałem towarzysza Francisz-
ka, ani jego rodziny w ich
dawnym domu. Dostał w między-
czasie nowe mieszkanie w oddziel-
nie położonej pięknej willi z ogród-
kiem i tarasem.

Niebawem siedziałem przy stole
i oglądałem zeszyty jego starszej
córki. Uczyła się dobrze. Towarzysz
Franciszek przyjął mnie serdecznie,
mówiliśmy długo o sprawach, które
zaszły w ciągu roku, opowiadał sze-
roko o „swoich następach”, o no-
wym ruchu brygad zespolonych, o
konfliktach między zacofanymi i
przodującymi robotnikami, okazy-
wał z dumą odcinek płacy. Zara-
biał ponad 100 tysięcy miesięcz-
nie. Spędził ostatni urlop w Cze-
chosłowacji, był w Wenecji na Kon-
gresie Związków Zawodowych,
przyjmował go Prezydent w Belwe-
derze, został Budowniczym Polski
Ludowej...

Zaspalając, myślałem o swoich ko-
legach w Warszawie. Czyżby tylko
tryb życia ograniczał tak dalece
ich świadomość że nie potrafili do-
strzec zmian, które zaszły w losie
i świadomości nowego człowieka w
naszym kraju? Kim był towarzysz
Franeek przed wojną? Był pastuch
osiedla Brzeszcze, były parobek ku-
łaka z Jawiszowie — były robot-
nik sezonowy na szosach podkra-
kowskich, któremu serce zamierało,
kiedy widział, że droga już jest go-
towa (co oznaczało, że robota jest
skończona i znowu nie będzie za-
robku) — były górnik „biedaszy-
ków”, którego gonił policjant po
haidach, były bezrobotny, który
sam mówił o sobie, że „bez przer-
wy miał przerwy w pracy”...

Kiedys do Balzaka zgłosił się
młody początkujący pisarz. — Mi-
strzu — rzekł — jesteś pan w sa-
mej szczęśliwej sytuacji. Pan ma stale
tematy i panu dlatego jest łatwo
pisać powieści. Ja nie mam tem-
atów. O, gdybym ja miał taki te-
mat jak pan, napisałbym wspania-
łe dzieło.

— Tematy? — zdziwił się Bal-
zak — Proszę niech pan weźmie
mój stół: temat: mężczyzna kocha
kobietę. Dodaj pan szczegóły i
będzie pan miał wspaniałą po-
wieść...

Kto weźmie życiorys towarzysza
Franciszka Apryasa, doda do niego
szczegóły, wyjaśni mechanikę losu

robotniczego w warunkach sprze-
żności kapitalizmu, dialektycznie, a
jednocześnie w wysoce artystycznej
formie przedstawi jego życie i wal-
kę, drogę do zwycięstwa w warun-
kach naszej rzeczywistości, budowa-
nej przez takich jak on prawdzi-
wych bohaterów naszego czasu?..

Tygodnik, z którym współpracuje,
umieścił fotografię towarzysza
Franciszka na pierwszej okładce.
We wszystkich kioskach Katowic,
skąd wracaliśmy „Brzeszcz”, dokąd
przyjeżdżaliśmy, wisi ta okładka
na wyróżniającym się miejscu.
W szkole, w której uczy się Ja-
dwiga, najstarsza córka Apryasa—
nauczycielka pokazała dzisiaj por-
tret jej ojca wszystkim dzieciom.
Jadwiga przyszła uradowana i moc-
no, mocno ucałowała tatuzia.

Przypominam sobie: to ta sama
nauczycielka, która rok temu była
dzieci po rękach, a gdy Franciszek
zaczął swoją drogę do sławy, mia-
ła się odezwać z przekąsem: —
Przecież to zwykły robotnik...

Dziś mam wolny dzień — mówi
Franciszek. Wrócił o dzień wcześ-
niej z urlopu, który spędził w jed-
nym z uzdrowisk Czechosłowacji. —
Pójdziemy w gościnę do ojca. Wie-
czorem przy kolacji Franciszek o-
powiadał:

— ...jak stary zobaczył moje
zdjęcie na pierwszej stronie, to się
rozplakał, jak małe dziecko. —
Franeek — mówił do mnie — czego
ja to dożyłem.

Rozplakał się, wiecie, i schował
okładkę pod poduszkę. — Jak pój-
dziesz, będą oglądać. Do czego do-
szło... Zwykły robotnik, mój syn.
— Idź, prędzej, Jadziu, kup no-
wy numer.

Tereny górnicze, które należały
swego czasu do księcia Pszczyńskie-
go obejmowały obszar o powier-
znię 682.000.000 m kwadr. Zapas wę-
gla, urzędowo stwierdzony na tym
obszarze na głębokości 1200 m wy-
nosił 1.800.000.000 ton. Konto cze-
kowe Książę Pszczyński posiadał
w Banku Polskim pod nazwiskiem:
Jan Henryk XV Książę Pszczyński
w Katowicach, oddzielne konto nr
301.355 w PKO, oraz specjalne
konto w Deutsche Bank und Dis-
kontogesellschaft Zweigniederlas-
sung Kattowitz, jak również w
Böhmische Unionbank, w Moraw-
skiej Ostrawie. Biura sprzedaży

węgla, wydobywanego rękoma bra-
ci Franciszka Apryasa i jego ojca,
miał księżę pszczyński w Wrocła-
wiu (dla Niemiec) w Wiedniu (dla
Austrii, Węgier i Jugosławii) dla
krajów północnych w Gdańsku, dla
Włoch w Wenecji i Genui, dla Szwaj-
carii w Zurychu i Bazylei, dla Ru-
munii w Gałaczu.



Franciszek Apryas

Prywatna własność księcia
pszczyńskiego stanowiły:

1. Kopalnia węgla „Murcki”.
2. Kopalnia węgla „Książęca”.
3. Kopalnia węgla „Piast”.
4. Kopalnia węgla „Brada”.
5. Kopalnia węgla „Bogostaw-
wienstwo Trautholda”.
6. Kopalnia węgla „Książętko”.
7. Kopalnia węgla „Aleksander”.
8. Kopalnia węgla „Barbara”.
9. Brykietownia w „Dziedzi-
cach”.
10. Elektrownie w Ligocie.
11. Fabryka wyrobów cemen-
towych w Murkach.
12. Cegielnie kopalni „Książęcej”.
13. Cegielnie w Ligocie.
14. Kamieniołomy w Kosztowach.
15. Browar piwa w Tychach.
16. Winiarnia książęca w Ty-
chach.
17. Cegielnie w Murkach.
18. Cegielnie w Tychach.
19. Elektrownie w Pszczynie.
20. Dobra w Kępach.
21. Dobra w Mizerowie.
22. Dobra w Tychach.
23. Dobra w Studzionce.
24. Dobra w Suszcu.
25. Dobra w Kryrach.
26. Stadnina koni „Luisenhof”.
27. Gorzelnie w Kępach.
28. Gorzelnia w Mizerowie.
29. Tartak w Kobiorze.
30. Tartak w Murkach.
31. Majątek leśny w Pszczynie.
32. Majątek leśny w Zwakowie.
33. Majątek leśny w Czułowie.
34. Majątek leśny w Kobiorze.
35. Fabryka mebli w Murkach.
36. Wytłórnia smoły w Kobiorze.
37. Związki azotowe „Oswag” w
Łaziskach.

Dwa miliony pięćset sześćdziesiąt
tysięcy ton wynosiła w okresie pro-
sperity produkcja kopalni, należą-
cych do księcia pszczyńskiego. Ko-
szta własne wydobycia jednej tony
wynosiły 9 — 11 zł. Cena w sprze-
dazy 40. Pomnożenie dwa miliony
pięćset sześćdziesiąt tysięcy ton
przez średni zysk 30 zł z każdej
tony. Sprzedaż była gotówkowa: 50

proc. produkcji szło na sprzedaż
dla przemysłu, 30 proc. na opał do-
mowy, 20 proc. dla komunikacji.
Szlą wszystkie sortymenty: węgiel
gruby, kostka, kostka I, kostka II,
orzecz II, orzech Ia, orzech Ib, or-
zech II, groszek, grysiak, miał i
drobny...

W tym samym czasie bezrobotny
Franciszek Apryas, pod osłoną no-
cy, w ciągłej obawie przed postrze-
żeniem i aresztowaniem, kopał na „bie-
daszybach” i wynosił w latanym
worku kilkadziesiąt kilogramów wę-
gla „na opał domowy” i „na sprze-
daz drobnicowski”. Był to najczęściej
grysiak, miał i drobny...

Kiedy książę Henryk wyjeżdżał
w konkury po trzecią żonę, ojciec
Franciszka Apryasa b. robotnik rol-
ny, zaczął wiercić szysz w jawisz-
wickiej kopalni. Kiedy książę Hen-
ryk spędzał miesiące miodowe w
Biarritz, ojciec pierwszy raz legł
na reumatyzm, nabyty przy pracy
na wodnistych wyrobiskach i na
który choruje po dziś dzień.

Było trzech synów książęcych:
Henryk, Aleksander i Karol. Jeden
został gestapowcem, drugi jest u
Andersa, trzeci rozbili się w kata-
strofie samochodowej na kolejnym
spacerze z kochanką... Stary zmarł
jeszcze przed wojną. Żołnierz twier-
dził, że na atak paraliżu progres-
siva. Jeden syn starego Apryasa
jest Budowniczym Polski Ludowej,
odznaczonym najwyższymi ordera-
mi za bohaterką pracę, drugi jest
dyrektorem kopalni, reszta rabie
węgiel na Konta Polski Ludowej,
idące do Socjalizmu. Wnuki cho-
dzą do szkół i prosili mnie wczor-
raj, abym wyjaśnił znaczenie słowa
„bezrobocie”, oraz podał adres ka-
towskiego Konserwatorium.

Co pozostała po sobie klasa,
która odeszła? Procz niezapłacon-
ych podatków — pogardę i niena-
wiść.

Oto scena ostatnia, z którą żę-
gam Franciszka i wyjeżdżam da-
lej: przywiozłem mu książeczkę,
nad którą razem pracowaliśmy
o nim i jego walce i pracy. Pro-
szę o dedykację. Pisz niezgrabnie,
robi błąd... Córka zwraca mu uw-
agę, bierze egzemplarz, poprawia i
wyjaśnia ojcu, jak się pisze po-
prawnie słowo „towarzysz”. Tow-
arzysz Franciszek poprawia, wrę-
cza mi książkę, spogląda trochę za-
kłopotany...

A oto pierwsza scena, którą za-
staje teraz: towarzysz Apryas jest
studentem Technicum w Bytomiu.
Jeden z lepszych uczniów, ale jeszcze
ciągle ma trudności z pisownią. Za-
to z matematyki i algebry — ce-
lując. Przy stole w internacie, gdzie
w tej chwili siedzą, naokoło Apr-
asa grupa studentów-kolegów, któ-
rym on pomaga w algebrze. Roz-
wiązuje równania 3-go stopnia —
on, który niedawno miał trudności
z obliczaniem swego własnego za-
robku.

Niedzielię spędzamy w jego domu
w Brzeszczach. Przed kolacją Ja-
dwiga przynosi zeszyt i prosi, aby
ojciec pomógł rozwiązać jej zadanie
na jutro...

Jeszcze teraz pamiętam uśmiech
Franciszka, gdy spojrział na mnie...
Ile było w tym triumfu!



coraz donośniej; Radziecka Republi-
ka, z męstwem odbijająca pierwsze
ciosy kontrrewolucji, Radziecka Re-
publika, rozszerzająca się na całą
carską Rosję jak rozszerza się ogień
na wysuszonym słońcem stopie, była
źródłem rewolucyjnej energii oraz
przykładem i dla nas. Istniały więc,
zdawałoby się, wszelkie przesłanki
temu, aby ów groźny pomruk,
zamienili się w donośny ryk rewolu-
cji.

Ten groźny pomruk gniewu i bun-
tu dosłyszała i burżuazja polska.
Ona to, poczuła się śmiertelnie za-
grożona owym marksowskim wi-
dem komunizmu, które przewydrę-
dowało i na nadwiślańskie piaszki, prz-
stępowało do zdecydowanego przeciw-
stawienia.

Albo ówczesna sytuacja była tak
wypelniona owym rewolucyjnym
wrzmem, proletariatu tak natarczy-
wie i tak potężnie demonstrował
swoją rewolucyjną energię, iż bur-
żuazja nie czuła się na siłach w
owym okresie przystąpić do otwarte-
go terroru.

Do działania przystąpiło więc jej
lewe skrzydło—kierownictwo P.P.S.,
które otrzymało zadanie unicestwie-
nia rewolucyjnego działania klasy
robotniczej, rozsadzając ją od we-
wnątrz.

A tymczasem sama burżuazja

oparta już na bagnietach Piłsudskie-
go i osłonięta figowym i coraz bar-
dziej przejrzystym listkiem „socja-
listycznego” rządu Moraczewskiego
gorączkowo umacniała swoje po-
zycje, rozszerzała aparat przemocy,
otrzymywała z łaski niemieckiego im-
perializmu.

Na jednym z pierwszych zebrań

Warszawskiej Rady Delegatów,
przedstawiciel Socjaldemokracji Kró-
lestwa Polskiego i Litwy, partii, któ-
ra była motorem działań rewolucyj-
nych owego okresu, tak trafnie scharak-
teryzował istotę walki, toczonych
w owych dniach i tygodniach.

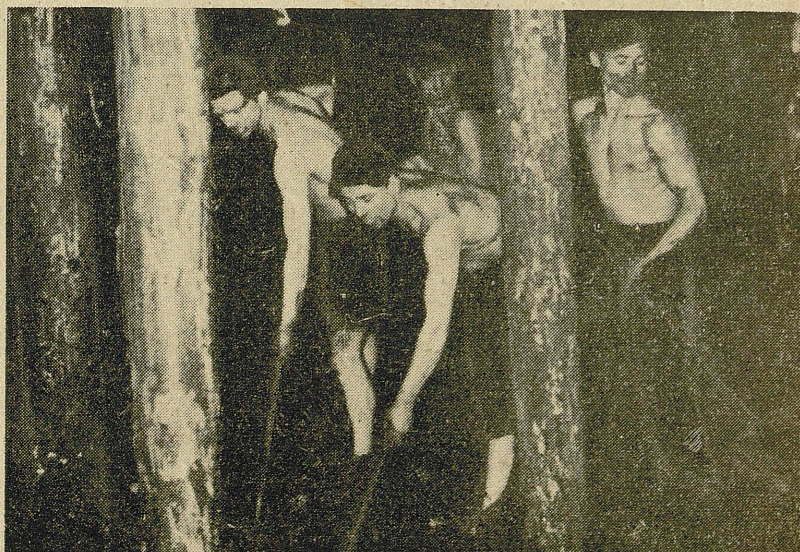
— „Albo czeka nas dyktatura bur-
żuazji, albo dyktatura proletariatu”...

SDKP i L i PPS-Lewica, przyste-
pując do tworzenia Rad Robotni-
czych, Chłopskich i Żołnierskich, już
w pierwszych dniach listopada 1918
roku rzuciły hasło rewolucji socjal-
nej i dyktatury proletariatu.

Rady Delegatów, podobnie jak w
Rewolucji Październikowej, miały
ująć w swe ręce pełnię władzy i wy-
łonić własny organ wykonawczy:
rad robotniczy. Wiazało to do ści-
śle ze zdeksamowaniem burżuazji-
nej, defensywności treści gabinetu
Moraczewskiego. Silny odzew, jaki
to wezwanie rewolucyjnego odzium
polskiego ruchu robotniczego wywo-
łało wśród mas ludowych, uzmysło-
wiło burżuazji całą powagę sytuacji.
Gdy czytamy ówczesną prasę, gdy
słuchamy opowiadania świadków
owych czasów, uczestników rewolu-
cyjnych wydarzeń, gdy wreszcie prze-
biegamy wzrokiem nieliczne anali-
zy krytyczne ówczesnego okresu,
trudno się oprzeć wzruszeniu. Iż to
było bohaterstwa i poświęcenia
klasy robotniczej, ileż zapala i rewolu-
cyjnego oddania! A ileż, jednocze-
śnie, podłości i zdrady, ile oportuni-
zmu i defensywności roboty...

**Narzekania na brak ludzi są niczym
więcej, jak oportunistyczną krótko-
wzrocznością, albo bezdusznym niedołę-
stwem tych, którzy nie chcą widzieć no-
wych rosnących ludzi.**

BOLESŁAW BIERUT
Na IV Plenum KC. PZPR



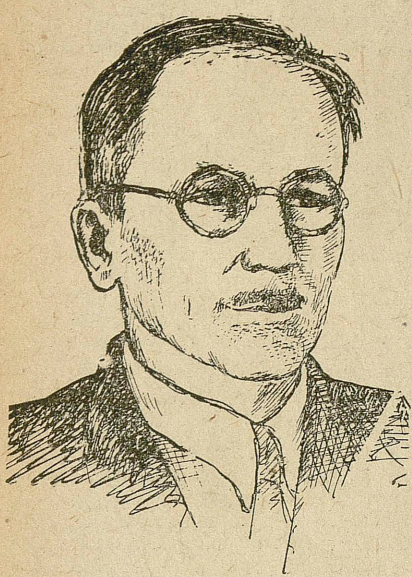
Młodzieżowa brygada górnicza



Przodująca brygada Porębskiego

SEWERYN SKULSKI

PAN SKLEPIKARZ



Seweryn Skulski

Od Redakcji

Zamieszczamy na tej kolumnie portrety dwóch wrogów klasowych: sklepiarkę i bogacza. Portrety te są dziełem działacza terenowego, korespondenta gazet, Skulskiego i przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej, Wójcika. Należy podkreślić autorstwo chłopów, którzy w doświadczeniach walki klasowej w rodzinnych wsiach wykonywali tak jasne i ostre widzenie wroga klasowego.

Przypominają się nam boje, jakie „Wies” staczała z ordonowanymi grundriogowskimi uniwersytetów ludowych w latach 1945 — 6 i z ordonowanymi agraryzmami. Byli to działacze od powiatowych bardzo powyżej. Mówili o „nawroście chłopskiej”, zacierali zróżnicowanie klasowe, hałasowali „solidaryzmem”. Wiele potęg wiszących, jak im się wydawało — dla wsi i w imieniu wsi — hałasła te pogardy i oportuniźmy. Powoływali się na poczęcie ludowej i piersi ludowej, w którym przemawiał chłop od pluga — Magrys, Stomka, Kuraś, Antek z Bugaja. Skulski w nich „wiecznej istoty” chłopów, nie widzieli historycznej i klasowej. A w głębi powiatów rzeczywiste chłopów pracowali, działali i walczili. Podrastać zaczęły nowe dokumenty. Pośpydali się pamiętniki, w których przeszłość, los wielu lat minionych przeniknęła świadomości klasowego położenia, klasowej zależności od ustroju kapitalistycznego i od ostrości walki antagonizujących sił. Nadszedł czas do redakcji pism masowych młodych z pola walki korespondentów-chłopów. Te dwa portrety sklepiarkę i kula, jakie tu zamieszczamy dają wyobrażenie nie tylko o stopniu świadomości klasowej tysięcy korespondentów ale więcej niż setek tysięcy chłopów. Mówią one o powszechnej umiejętności wśród drobno i średniorolnych chłopów wykrywania i odświeżania skądinąd i wrogich elementów. Z końcem 1948 r. w-pram. Młoc mówi, że chłopci sami skonstruowali sobie w lokalnych warunkach pojęcie różnic klasowo-gospodarczych na wsi i nie pomylił się, gdy będąc walczył. Małorolny Wójcik nie pomylił się. Daje konkretny plastyczny, szczegółowy, unikliwie rozbudowany portret „poczuwającego” bogacza. Walka i czujność w walce, do czego używało III Plenum Partii, dała owoce. Przewodniczący spółdzielni produkcyjnej, Wójcik, mówi o bogaczu Frydla „jego kamienica spać nie daje”. Walczącej wsi spać nie daje świadomość istnienia i działania wroga. I dlatego jest już tak, że prawie każdy Wójcik opisał wroga, jakby portret malarza artysty, który szkół, doświadczenie i uprągę ma już za sobą. Zapisał go, jak Listowski pytał Wójcika, a narysował ci w słowach od ręki portret, w którym jest już walor artystyczny. I ten walor mówi o przenikliwości i znawstwie statki pałacej kulki i tam gdzie rozpościera się ona na gromadę i tam gdzie sięga do miasta, do wyższych ogniw naszego aparatu produkcji i władzy.

Takim dokumentem można odmierzyć epokę jak dzieła nas od pamiętnika Stomki, w którym chłopci biedni łudzili się, że widzą swoje marzenie.

Czynność i zdolność wykrywania i odświeżania elementów wrogich to jedna część zadania, jak mówił Prezydent Bierut na IV Plenum KC PZPR — druga nie mniej istotna, trudna i odpowiedzialna to umiejętność dobierania, rozstrzygnięcia, kształtowania, wyposażenia kadr i opiekowania się nimi. Na drugiej kolumnie ukazujemy w reportażu Papiera i Martuszeńskiego, jak ostro stoi problem kadr na wsi. „Partia przyjmuje Koselara” to obraz wiejskiej komórki partyjnej. Proces krystalizowania się aktywności partyjnego na szczeblu najniższym potwierdza wiarę w klasę robotniczą i masę drobną i średniorolnych chłopstwa, jaką wyraził Prez. Bierut, przypisując im podziękowanie, że w tym trudnym i odpowiedzialnym zadaniu, do którego podali rękę, pomogli w przewidywaniu pierwszych trudności, otoczyli opieką. Reportaż Papiera i Martuszeńskiego ilustrują, że ożywiają prawdę i rewolucyjnie wzmacniają.

P. Ch.

Iść do sklepu do mojej wsi, nie znaczyło, że idzie się tam po samą sól, zapalki, pieprz, mydło, nici, naftę i inne różne drobiazgi domowe. Sklep Antoniego Derkacza sztywno zawsze chodzącego, pierwszego obywatela mojej wsi, był nie tylko sklepem, był centralą w zapadłym kącie kraju, na pograniczu dwóch powiatów, z dala od wszystkiego, co się w kraju i we świecie działo. Do sklepu przychodziły wszystkie nowiny z okolicy i ze sklepu ciekawostki szły na okolicę. Żadnej drobnostki nie uszło przeżyć przez sklep jak przez sito. Tu każda rzecz i sprawa walcowała i nie też dziwnego, że po dodaniu różnych przyczep, stała się nieraz mała drobnostka wielką sensacją.

Bo kół był najmądrzejszy w okolicy, jak nie sklepiarkę, pan Derkacz? To nie kto inny, tylko on, od długich lat w radzie gminnej zasiadał. Ze rezultatów tego zasiadania nie widać, to fakt, ale jeżeli radny Derkacz chciał, to całą godzinę i dłużej mógł bez przerwy przemawiać pięknie, czego nie umiał żaden z chłopów okolicznych, którzy są tylko do widel i gnoju.

Słowem chłop morowy, którego nikt nie przegadał, nikt nawet nie śmiał swojej gęby otwierać, gdy on mówił. Abonował stale „Młoty Dziennik” wydawany przez ojców w Niepokalanowie, był zatem świetnie poinformowany co się w kraju i w świecie dzieje. Na kontuar a czasem na długą ławę koło pieca, kładł „Rycerza Niepokalanę”, ażeby czasem jego treścią ktoś ducha sobie wzmochnął i nie chwiał się w myślunkach i nie dawał ucha różnym niewiarom jakoby świat był głupio urządzony. To tylko w jednej Bolsewii jest głupio, poza tym jest tak, jak Bóg przykazał. Poza tym pan sklepiarkę, jak go tytułowali, był świetnym kawalarzem, to jest umiał chłopom zalewać, jak chciał.

Prawie co dzień, szczególnie zimą, duża ława obok rozpalonego torfem pieca, była zapełniona siedzącymi chłopami. Słuchający od czasu do czasu na całe gęby wybuchali śmiechem, a pan sklepiarkę nosa zadzierał, dumny z siebie, że tak może i umie, że ma poważanie i jest najmądrzejszym w okolicy. A gdy pan sklepiarkę powracał z miasta z towarami, to chłopci jeden przez drugiego wylatywali ze sklepu, znosząc ciężkie paki, beczki i worki, ażeby sobie czasem pan sklepiarkę której żyły nie nadwyrężył. Czasem dał im za to, z wielkiej filantropii, po papierosie, a najczęściej jeszcze tłuściejszy jakiś kawał palnaka.

Pan sklepiarkę dopiero wtedy przechodzącego chłopca zobaczył, gdy chłop pierwszy grzecznie czapki uchylił i powiedział jak się należy: „Dzień dobry panu”. Derkacz podnosił dwa palce do czapki i to starczyło. Niech chłop wie, że nie równać mu się panem Derkaczem — sklepiarkę.

Albo niech-no który z dziedziców okolicznych zajdzie pod sklep Derkacza i niech-no go Derkacz sprostuje, wylatuje jak z procy, składa się, nisko się kłania z uśmiechem: „Dzień dobry wielmożnemu panu” — powiada z czapką w ręce, pomaga schodzić z brzytki, drzwi otwiera i pierwszego prosi do sklepu. Chłopi wtedy milczeli i tylko oczami śledzili usznięte ruchy pana sklepiarkę i osobę dziedzica. Albo, gdy który z rzadków lub ekonomów dziedziców przyjechał pod sklep, to po załatwieniu spraw, prosił do osobnej izby na herbatkę, przy której poważnie i po ludzku rozmawiali i dowcipkowali, ale nieco inaczej niż z chłopami.

W ogóle pan sklepiarkę miał się dobrze. Czysto chodził i przykracze co dzień. Podrzedne prace i jak się mówi, brudniejsze, wykonywał służący. Tak samo prace za pania sklepiarkę wykonywała służebna dziewczka.

Nieraz można było wyczuć z mowy pana sklepiarkę, że nawet i niekoniecznie byłoby to dobrze na świecie, a szczególnie w naszej wsi i okolicznych wsiach, gdyby każdy był mądry i tyle wiedział i umiał, ile wie i umie on — sklepiarkę. Uważał bowiem, iż najlepiej jak chłop nie czyta nic, a jeżeli już ma coś czytać to niech już czyta „Rycerza Niepokalanę”.

Różni ludzie różnie mieli losy podczas bestialskiej okupacji naszego kraju przez bandy hitlerowskie. Po ucieczce kłwającego okupanta, po zadaniu mu kłęski przez Armie Radziecką i Wojsko Polskie, kto jeszcze żył, ciągnął na swoje. Pomimo zniszczenia i ogromnego spustoszenia ludności jakiś inny duch powiał po naszej okolicy i wsi. Każdy z nas był ciekawy, jakie to teraz będzie życie. Jak się to wolne życie ułoży i jaka też teraz Polska będzie. Mało kto jednak żył sobie powrotem warunków przedwojennych.

Oto do naszej wsi zawitał „Zielony Sztandar”, tu i tam „Chłopska Droga”, a nawet „Wies” i różne ludowe pisma. Poczęły krążyć książeczki na różne tematy społeczne. Ten i ów czytał o tym, że dokonuje się szybkie odrodzenie kraju. Powstają organizacje, spółdzielnie, czytelnice, świetlice i Związki Samopomocy Chłopskiej. A najbardziej to już nas, chłopów, ucieszyły Manifest Lipcowy co nam

dał ze ziemią władzę. I jeszcze nasza wieś to bardzo zainteresowała, że organizują się chłopci i robią to i tamto bez pomocy panów i jałkoś im to wszystko dobrze idzie. Tacy prości chłopci, jak my, w naszej wsi i okolicy.

Narazie odważył jakoś nie było. Ten i ów wiedział, że to i tamto trzeba zrobić i rozpocząć, ale złał dzieć za dniem, a kogoś kto by naprawdę zakasał rękawy do społecznej pracy, nie było. A pan sklepiarkę, Derkacz, jak i przed wojną znowu sklep w swoim domu otworzył i tak samo zaczął karmić chłopów kawalami i podsuwać myśli, aby w sklepie mówiono o snach i wyroczniach, zabobonach i demonach, żeby sklep znowu stał się centralą wszystkich wiadomości na okolicę.

Albo teraz sklep pana Derkacza miał o wiele większe zadanie i pracę o wiele ważniejszą, począł słudzić do rozsiewania także innych wiadomości. Pan sklepiarkę przyspadał mu do gustu wiadomości podstępne, coś niecoś dodawał a jeżeli akuratnie nie były, poprawiał, aby rosły i szły w okoliczne wsi i dalej, bo głupota ludzka dodawała im buty siedmiomilowe, z czego wiele sklepiarkę był zadowolony. A przed grupą ludzi „pewnych”, wcale się nie krepował.

— Trzecia wojna — powiadał — tu, tu, zaraz wybuchnie, bo już okopy tam i tam ryją. Reforma rolna to prawdziwe świnstwo. Złotych już jutro żadnej wartości mieć nie będzie. Pod Łódźką pepelowy konie do kościołów wprowadzili. Nafty, zapalek, mydła nie będzie, i do tego przyjdzie, że chłopci podatki będą płacić od obrotu kół u wozów.

Słowem, sklep Derkacza stał się centralą „prawdziwych wiadomości”.

— Patrz, czego się chłopom zachiewa — mówił do swojej żony — spółdzielnia im w chłopskich ciasnych łbach kielkuje i powtarzał to do kilku bogaczy wiejskich.

— Patrzcie, chłop chce być mądry, działy dziś sięgają ponad stę i los, jaki im Bóg przeznaczył. Sprzykrzyło im się widzieli robić, do nie swoich spraw się biorą. A mówiem już, że z tej demokracji ludowej nie dobrego nie wyjdzie. Nie sądzę, żeby z wzo-

rajszego dziada mógł być jutro inteligentny człowiek?

— Czy wyście, ludzie, powariowali! Jaktó, u nas spółdzielnia, w tej dziurze? Czy wy potraficie obliczyć, ile będzie trzy razy siedem? To głupi pomysł — mawiał do tych, którzy pobakiwali o spółdzielni.

Myśl organizacyjna na wsi już dobrze kielkowała. Przyszło nawet kilku mieszkańców wsi z propozycją do Derkacza, aby w miejscu, gdzie swój sklep prowadził, sklep spółdzielczy otwarto. Proponowali Derkaczowi, aby jego kierownikiem pozostał. Derkacz nie skorzystał z propozycji i odradzał stanowczo założenia spółdzielni, choć go własna żona namawiała.

— Słuchaj, Antoś, nie bądź upartym kozłem i dobrą radę przyjmij. Oni sklep mogą założyć i poprowadzić go, bo wiesz, że chłop jest uparty. A ty co? Na łódzie zostaniesz. Umiesz lepiej ołówek w rękę trzymać niż oni, bierz robotę i jedź chleb z dziećmi.

Niech ich cholera weźmie — odpowiadał zawzięcie Derkacz. — Mogą sobie sklep założyć, ale wyjdą jak Zabłocki na mydle. Ja nie wierzę w zdolność chłopów i nie podzielam twojej wiary w jego upartość. Właśnie dlatego, że mogę lepiej ołówek w rękę trzymać niż oni, jakim Derkacz, mówię, że posiadaj w sobie tyle ambicji, że własnej ręki i głowy nie dołożę do zamordowania samego siebie i zrównania chamsztwa ze sobą. Czy ty sobie zdajesz sprawę, że mnie by tak jakieś komisje chłopskie i organizacyjne kontrolowały i wolność odbierały? Chłopi, tacy od widel i gnoju, będą mi polecali co i jak mam robić? Mogę im jedynie powiedzieć: jesteście głupie Wojtki i takimi zostaniecie na zawsze.

Prawda, że tym Wojtkom początkowo szło ciężko. Nie było pomysłu na sklep. Sklep spółdzielczy otwarli w zwykłej chacie wiejskiej. Niektórzy to na patrzyli spode łba i z niedowierzaniem, ale gdy się przekonali, że towar w spółdzielni tańszy, a gdy po roku tuły nadwyżki było, że długi zepchnęli i jednemu młodzieńcowi, zdolnemu synowi biednego chłopca, na stypendium starczyło i sporo na odbudowę Warszawy wysłało i czytelnie we wsi założono, to

Z IV-tego Plenum

„Dlaczego po III Plenum powracamy znowu do zagadnienia kadr?”

Po pierwsze dlatego, że nie wystarczy tylko wzmożona czujność i zdobycie umiejętności wykrycia i odsiania złych i wrogich elementów.

przekonało niewiernych, że spółdzielnia jest dobrą rzeczą dla ogółu. Potem nawet kumotrowie i krewniaki pana Derkacza, początkowo skrycie, a potem otwarcie jego sklep mijali, a szli do spółdzielczego.

Po trzech latach istnienia spółdzielni, nadwyżka pozwoliła na zapoczątkowanie budowy obszernego domu na sklep, salę zebrania, składów i świetlicę. Samopomoc Chłopska widząc dobre efekty i coraz większą świadomość społeczną mieszkańców wsi, przysłała z pomocą, dała instruktorów, którzy swoją wiedzę fachową pomagali. Od spółdzielni stroniło tylko kilku bogaczy wiejskich, ponieważ jednego, który wszedł do niej z nadzieją osobistego zysku, wywalono na łeb. Dziś w spółdzielczym sklepie zawsze ludno i gwarno, że aż miło.

Skrzypią wozy chłopskie zwożące cement, cegły i kamienie. Jadą wozy z wapnem, piaskiem i żwirem. Opodal w lesie państwowym słychać siekiery i tarcie pił. Siwki, kasztany i gniaźda ciągną z lasu budulec na nowy gromadzi dom, chłubę wsi.

— Wio siwy — ktoś pogania. — Ciąg gałganie. To dla nas, dla gromady na lepsze jutro. — Wio, wio — odzywa się inny. — A dyc wio. Pokażemy, że bez panów potrafimy razem chłopcy z robotnikami lepszą i ładniejszą Polskę zbudować niż za panów była! Taką ludową Polskę dla wszystkich.

Derkacz oparty beczynnie w pustym sklepie łokciami na kontuarze, gryzie paznokcie, jakiś zły i milczący. Dawne kawały mu nie idą, nie ma komu ich słuchać i podziwiać, w duszy jego jakoś ciemno i ponuro.

Nie tylko sam Derkacz narzeka i opiera się idącej wielkiej fali nowego życia, która w pochodzie swoim zmywa w przepaść wszy-

stkie krzywdy. Jagmin, były administrator dziedzica pobliskiego folwarku, już rozparcelowanego, często zachodzi do Derkacza, aby mu pomagać narzekać na tę nową Polskę. Czasem ten Wojtas, bogacz wiejski, jeszcze posiadający 60 morgów dobrej ziemi, przyłącza się do nich. Czasem im bliźnie iskiernka nadziei, gdy na „Głos Ameryki” radio nakręca, ale te iskry stale gasną, nowe się iskrzą i znowu gasną. Choć temu ostatniemu jeszcze demokracja krzywdy nie zrobiła, ale sen o stałym dokupowaniu corocznie nowych morgów znikł jak bańka mydlana, jak dym z papierosa, jak dzień wczorajszy, który już nigdy nie powróci. On i na reformę rolną nie narzekałby, gdyby mu było przypadek z folwarcznej ziemi, drugie 60 morgów. Ale, gdzie tam, dali formalom, bezrolnym i matorolnym, którzy nie raczą teraz z daleka Wojtasowi mówić: — A, dzień dobry gospodarzu! Maja dziś własny chleb, nie potrzebują zjedzonego Wojtasowi odrabiać, jak to dawniej było.

Co ma dziś robić ta trójka „nie-szczęśliwa”? „Prawdziwe wiadomości” idą coraz mniej, gdyż coraz mniej takich, którzy ich słuchają. Natomiast chłopci studiują statuty Spółdzielni Produkcyjnych i coraz bardziej śledzą wyniki ich pracy. Co mają robić ci panowie? Po namiętności się na wszystko co ich dziś otacza, po namiętności sobie dawnych dobrych czasów, dla zabicia czasu rzną w karty.

Akurat znowu karty miał rozdać Derkacz, gdy niechcący spojrzawszy w okno i zobaczył wianek z kwieciami i zieleni na pierwszych krokwiach budującego się domu gromadziego i spółdzielczego. Zerwał się z siedzenia jak oparzony, warknął: — Cholera! — i wyrwał całą talią kart o stół, tak silnie, że aż się po podłodze rozprysły. (ciąg dalszy na str. 8)

MARIAN N. LISTOWSKI

„BOGACZ POCZCIWY”



Roman Wójcik, przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Przylęczku

Roman Wójcik, to były małorolny, przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Przylęczku — „ziłce serce” — szczerzy chłop i gawędziarz bezkonkurencyjny. Ale gadanie jego ujawnia klasowy sposób myślenia i bycia.

Właśnie pokazuje ręką wieś.

Gdy spojrzę na te chaty, o te formalne baraki i tych kilka chłopów, to wiem, że tu są nasi — członkowie spółdzielni, budowniczy lepszego, wspólnego jutra — cieszę się. Te zaś kilka chat, wiem że to „wahadła”, że to „ni we wte, ni we wte”. Myślę wtedy, że to do czasu, medytuję, jak nieufnych przekonam. Patrzę jednak na te czerwone kamienice — o tu, tego bogacza Frydla — wszędziekam się. Bo patrzcie, jego 60 morgów to prawie trzecia część całych przylęczkowskich pól. Jego „kamienica” spać nie daje.

Pamiętacie nasze zebranie partyjne, bezpośrednio po III Plenum KC, pamiętacie, co mówił Zięba? — Nasza spółdzielnia produkcyjna rozwija się za powoli. Otóż to — za powoli. Ja rozumiem, że trzeba długiego czasu, żeby w kogoś coś wmowić. Wmawiano nam od małego, w szkole (co ja tam nam — kilka klas), w kościele, na każdym kazaniu, jeszcze ojcom to kładli, a potem nam, że prawo własności prywatnej jest święte i nienaruszalne. Ojcom, żeby się nie targnęli na pańskie, a nam, że byśmy swojej przypadkiem nie uwspólnili.

Długiego trzeba czasu, żeby to kłamstwo przelać, mówione ze skroba. Ale można. Już reforma rolna przekonała, że „światłe prawo własności pańskiej” to fałsz, to lipa. Po tym łatwiej już było i to drugie kłamstwo rozbici. Przeszkadza nam Frydla, który podtrzymuje przy ży-

ciu konające kłamstwa. Przez niego właśnie za długo trwa to, za powoli.

To „za powoli” musi mieć swój koniec, jeśli się przedłużą, to może nam zaskodzą, może oderwać ludzi, może ich zniechęcić. Mówimy — założyliśmy spółdzielnię produkcyjną — (podkreślił z naciskiem ostatni wyraz). Jednak dopóki nie będzie produkcji, nie będzie systemu produkcyjnego, nie będzie tempa produkcji — nie może być mowy o kształtowaniu się kolektywu, zespołu, zespołowego życia, wzięcia zespołowej. U nas narazie nie ma jeszcze tej więzi zespołowej, wykształtowanej przez produkcję, przez tempa produkcji, przez kolektywną własność, gdzie każdy będzie dokładał swoją część pracy do wspólnej, gdzie każdy będzie bronił tej wspólnoty, widząc w niej swoją własną pracę, swój pot, swój wysiłek, przyszłość swoją, dobrobyt, życie. Wtedy żaden bogacz nie będzie nam szkodził, na nic będzie jego wysiłki.

Teraz istnieje dopiero wieź ideologiczna. Wspólny obraz przyszłego życia. Wiąza nas jeszcze nadto nasze biedy, nasze upokorzenia, jakie musieliśmy znosić, czy od administratora u hrabiego Wielopolskiego, czy od późniejszego dziedzica Kowerskiego, czy od chłopskiego „dziedzica” we wsi — Feliksa Frydla.

Tylko, że to się powoli zapomina. O Wielopolskim zapomniałem, zresztą mało kto tu widział go — doł ziemi, nie musiał być nawet widzieć. Kowerski uciekł, a Frydla zrobił się dobry, że choć do rany przyziół. Spalonych Zygów do siebie przyjął. I co z tego? Zygła, nasz towarzyszy partyjny, który rzucał projekt założenia spółdzielni produkcyjnej, Zygłina, ta sama, która była z naszą wieśką na Ukrainie, widziała dobrobyt w kołchozach, bardzo go sobie chwaliła — Zygłowie, na ostatnim decydującym zebraniu, gdy składano podpis pod statutem, po prostu wycofał się.

Feliks Frydla miał przed wojną 3 lokatorów w swojej w jednopiętrowej kamienicy, za codziennie odrobiek. Prócz tego 2 stałe służące i 2 stałych parobków. Ponadto pracował u niego okresowo małorolni. Tak np. Władysław Stepien robił u niego dwa tygodnie za 1 metr żyta. Nie dziwnego, że Frydla wykształcił 3 synów i córkę. Gadał wtedy: — kto tu umie się gospodarzyć? Trzeba się umieć rządzić tak jak ja. Frydliowie umieli rządzić się i urządzić.

Mimo, że na polu jego jest teraz perz i osot, jakiego nie ma u żadnego z małorolnych, w jego wielkiej oborze stoi jeszcze 8 krów i piękne konie.

Gospodarzyć jednak Frydla nie umie. Cóż ziemi oddaje w dzierżawę, bo jej obrobić nie może, a boi się, że mu leżąc ugiem mogą zabrać. Bo teraz niewiele idzie już do niego na dorobek.

Droga Frydla — droga jego wzbogacenia — wybrukowana jest rękoma małorolnych, 6 morgów pola kupił za 600 zł od Mieczysława Wójcika, gdy tego tak bieda przycisnęła, że musiał ziemię sprzedać, by spłacić podatki. A potem Frydla najwięcej zarobił na komasacji. Inżynierów i mierników nocował u siebie, karmił, poił i przepokupował, że dali mu więcej niż po słusznosci mu się należało, a biedakom „co z wasa spadło”. Mógł wtedy Frydla mówić: — co ja się z takim jednym i drugim wżarzem porównam? Mógł wtedy Frydla ludzi gardzić i upokarzać, mógł nas wywyższać.

Mógł synów uczyć — na panów — gdy nas uczył, że co pańskie to święte. Nam obiecywali nagrodę w niebie — gdy gnić już będziemy na cmentarzu. A jego synów inaczej uczył — że, co biedaka wcale święte dla nich nie ma być. Choćby ostatni chleb ze stołu, toby zabrali, bo robili po prawie, jako ścigany dług za swoją „dobroć”. I teraz ma synów inżynierów i też się mądrzy i „urządza”.

Trzeba, żeby nasi byli na stanowiskach synów Frydla. Bo jeszcze dziś się Frydla nie boi. Bo i czego — powiada — mam się bać? — ma synów na stanowiskach. Gdy przyszło wyzwoleń i założyliśmy koło PPR-u to on się też wkroczył, bo myślał, że będzie nami rządził. Ale rychło go usunęliśmy. Wtedy gadał, że jeszcze za kromkę chleba „dworusy” przyjdą robić do niego.

A teraz to się umie wślizgnąć nawet między spółdzielczaków. Kiedy wystarliśmy się gromadko o nawozy, o węgiel na zimę, to on tak ładnie kierował, że i jemu też dali i nawozów i węgla, bo „pomagał” — dał konie na przywiezienie. A widziałem, że z tego, co przywoził jego konie, to połowę dostał. Bo zwracał głowę, że „przecież w takich czasach to on nie będzie siedział na 60 morgach i część odda, albo mu zabiorą do spółdzielni”. I nasze chłopcy — przydzielili mu nawozy, żeby ziemia nie ubożała. Pomagali, głupcy, bogaczowi. Przecież on z tego będzie jadł chleb, bo nikt mu ziemi nie może zabrać, nie ma jeszcze takiego prawa. Sam to on nie odda — nie ma co o tym gadać. I trzeba jeszcze z takim ostrożnie, żeby nie dać możliwości do gadania, że spółdzielcy „krzywdzą” bogacza. A tak to on nas krzywdzi, bo to co on wziął, to dla nas mniej — i jeszcze mówi, że „urządza”.

Ma dobre plecy — ma synów. Co mi tam zrobić — powiada — pojedaj do syna, do Zabrza — jak syn ma 500 robotników pod sobą, niech wypłaci każdemu po 50 zł mniej, to już mnie utrzyma. A nawet jak mi ziemię zabiorą, to też mi za nią zapłacą.

Widać on to sam z siebie nie mówi, widać mu Wincenty tak powiedział — kto wie, może on tam szwindle uprawia. Niedrogi brat Stanisława. Gdy ten był w Urzędzie Ziemi, kazał pozbierać ludziom podworskie krowy, a potem sam sprzedawał potajemnie. Chciał 4 tysiące zł za przepisanie chłopu takiej krowy podworskiej na własność. A gdy jaka krowa padła, to sobie kazał dostawać 25 kg mięsa, a innym koleżkom też po kilka kilo. Meble z dworu wzięł do Urzędu Ziemi, ale potem stamtąd nocą jako swoje do ojca przysłał. A przecież dworski pojazd w stogu u niego znaleźli. Ludzie wszystko widzieli i mogą zawsze przyswidywać.

Kręta i śliska była droga Frydla. Ile razy przybliżał ją do drogi małorolnych, to tylko po to, by mu małorolni kawałek jego drogi sami do budowali. Tak często były tego wypadki, że nie można żadnego tematu poruszyć, by nie zaczepić o Frydla, albo nie spotkać się z jego wpływami. I dotąd Frydla będzie groźny, dopóki ustroju demokracji ludowej nie zmieni się na ustroj socjalistyczny, dopóki nie usunie się resztek kapitalizmu.

Gdy w czasie organizowania spółdzielni produkcyjnej pojawiła się wśród naszych ludzi plotka, że spółdzielnia organizują sami „urzędnicy”, bo Zięba — wójt gminy, bo Fasoń — sołtys, bo Czuba — sekretarz podstawowej organizacji partyjnej, bo Roman Wójcik — przewodniczący zarządu spółdzielni, a potem wszyscy będą na nich pracować, gdy oni będą usuwać się od pracy w spółdzielni dla spraw społecznych — wiedzieliśmy z tych to kół bryzy błota zachlapaliśmy naszą drogę. Wiedzieliśmy, kto po cichu przejechał w odwrotnym kierunku.

Jaka była nasza odpowiedź? Prosta i krótka: — my nie Frydlowe symy! Wystarczyło. Bo z Frydlem nikogo nie można porównać. Nawet ci, którzy mu ulegają, nie cierpią go, bo wiedzą, że jego liła „dobroć” to fałsz i wyzysk.

Pochyla się droga Frydla. Zjeżdża tu do niego cała rodzina. Brat Feliksa, Antoni Frydla z Saboszwic, który ma około 30 morgów ziemi, a był kiedyś kierownikiem młynem w Sędziszowie. Syn jego jest nadleśniczym.

Czy to nie u nich wykryto kilka nacieków morgów nie zapisane w aktach ziem? Tak, u nich. Ale ta sprawa utknęła podobno na martwym punkcie. Ktoś ją wyżej „urządził”.

Bywają często u Feliksa. Przychodzi wtedy jego zięć — Bieł i bogacz Jan Laprus. Mają co gadać, grunt im się spod nóg obusza, bo na wiosnę gdy zaczyna się prace w spółdzielni, żaden z nich nie będzie miał już parobków za odrobek.

MARIAN N. LISTOWSKI

KC. P. Z. P. R.

Niemniej istotną, trudną i odpowiedzialną jest umiejętność dobierania, rozstawiania, kształcenia, wysuwania kadr i opiekowania się nimi, umiejętność, którą muszą zdobyć nasze instancje partyjne.

BOLESŁAW BIERUT

TADEUSZ PAPIER

PARTIA PRZYJMUJE KOSELARZA

Parcela stanowi główny motyw życiorysu, który tow. Koselarz wypowiedział na zebraniu podstawowej organizacji partyjnej w dniu przyjęcia go do partii.

Tow. Koselarz sprowadził wszystkie swoje życiowe niepowodzenia i kłeski, jak to później wykazała dyskusja, do parceli. Mówił: „gdyby nie draństwo starego Torki, gdyby nie jego oszustwo, na pewno inaczej potoczyłyby się dzieje naszej rodziny i ja uniknąłbym wielu z tych przykrości, które musiałem przeżywać”. Słusznie potem tow. Zielony zapytał Koselarza, dlaczego rozwiązanie swojego losu uzależnia od przypadku (ponieważ umarł daleki krewny, ponieważ został im spadek, który podstępem odebrał im Torka itd.) A gdyby ów krewny nie umarł? Gdyby stary Torka był „uczciwy”?

Tow. Matus, stary robotnik rolny w b. folwarku hr. Lipkowskiego, podchwycił z miejsca myśl tow. Zielonego i zadał pytanie:

— Może ob. Koselarz (dopóki kolo nie przyjęło Koselarza w poczet kandydatów tytułowano go w czasie dyskusji obywatel) odpowie, kto jest głównym sprawcą nędzy, nieszczęść, zła a nawet chorób proletariatu miejskiego i wiejskiego przed wojną?

Zanim Koselarz odpowiedział upłynęło parę dobrych chwil. Koselarz był to wysoki chudy chłop, miał jasne wyblakłe oczy. Rozmawiając z chłopami zawsze pochylał się naprzód. Raził go własny wzrost. Przeszedłby przez wszystkie komisje rewolucyjne na całym świecie, gdyby tylko ręce miały świadczyć o stosunku człowieka do pracy. Ręce miał duże, żylaste, czarne. W przeciwnieństwie do rąk twarz miał delikatnie zarysowaną, usta wykojone w stałym uśmiechu. Dwie brzozy koło nosa ścigały ten uśmiech w dół. Koselarz nie miał jeszcze trzydziestu lat.

Odpowiedział wreszcie:

— Ustrój kapitalistyczny.

Opowiadał dalej o tej parceli. Członkowie egzekutywy partyjnej znali tę historię. Tow. Zielony mając przed wojną zaledwie trzy hektary ziemi często odrabiał różne świadczenia u starego Torki, którego nikt we wsi inaczej nie nazywał jak „pijawka”. Był nawet świadkiem jak Torka przechwalał się w gronie rodzinnym w jaki sposób „wykiwał” dziadów Koselarzów. Również znane były kulisy tej sprawy Matusowi, Możdżeńowi, Cichoniowi i innym chłopom. Opowieść Koselarza nie wnosiła nic nowego. Jednak pozwolono mu mówić. Na dosyć ciekawą uwagę Cichonia, że nie warto rozwodzić się nad sprawą, którą i tak wszyscy znają, lepiej niech kandydat ograniczy się do własnego życiorysu, tow. Zielony stanowczo zaprotestował. Nie należy niczym krępować „kandydata”. Niech wypowiada się jak najszerzej. Dyskusja wykaże w jakim stopniu historia parceli wiąże się ze sprawą ob. Koselarza.

W życiorysie piśmiennym Koselarz również poruszył historię parceli. Lecz na zebraniu włożył w swoje opowiadanie tyle żaru, że nawet Cichoń, który dotychczas usiłował nie dopuścić do poruszenia „nieprzyjemnej” historii, począł słuchać uważnie. Koselarz nawet w tym momencie popełnił, jak mu się wydawało, pewien nietakt. Odwrócił się bokiem do Cichonia i powiedział — nie chcecie słuchać, bo jesteście sąsiadami i kumotem Torki, co? Cichoń wstał raptownie od stołu, chciał coś mówić, ale tow. Zielony nie dopuścił go do głosu. Nakazał opowiadać Koselarzowi dalej.

Ojciec Koselarza i stary Torka byli jakimiś dalekimi krewnymi. Koselarz w dzieciństwie nazywał nawet starą Torkową „ciotką”. Obie rodziny nie utrzymywały jednak ze sobą bliższych stosunków, ponieważ Torka był bogaty, miał 15 hektarów, podczas gdy Koselarz pedził swój żywot na dwumorgowej gospodarce. Torka nawet nie

chciał przyznawać się do powinowactwa ze swoim ubogim krewnym. Nazywał go dziadem. Co ten dziad ma ze mną wspólnego — mawiał zwykle. Tyle, że daje mi robotę i chleb. Gorzki był jednak ten chleb, bo nawet wtedy, gdy Koselarzowie robili u Torki, podawano im posiłek w taki sposób, że stary Koselarz często odchodził głodny od stołu.

Niektórzy chłopci przez złośliwość dokuczali Torce tym powinowactwem. — Spójrzcie czy to nie wasz krewny tam idzie? — pytano Torkę przy różnych okazjach. Stary wówczas mrużył oczy i udawał, że nie może dostrzec Koselarza. — Jii, cheba nie — odpowiadał kwaśno.

Stary Koselarz był kulawy. Spadł kiedyś z dachu poszywając stodołę i od tego czasu nie mógł wyleźć się na nogi. Co pewien czas odnawiała mu się jakaś wewnętrzna rana, nogi puchły, obrzmiewały, robiły się sine. Kładł się wówczas do łóżka i nie wstawał tygodniami. Na młodego Koselarza spadały ciężary gospodarki. Musiał utrzymywać rodzinę, chorego ojca, matkę i dwie siostry. Siostry od dziesiątego roku życia były na służbie.

Młody Koselarz zamiast chodzić do szkoły wynajmował się do różnych robót u bogatszych sąsiadów. Był rośli, silny, kiedy miał 12 lat wyglądał na 16. Dawano mu najcięższe roboty, płacono zaś połowę tego, co otrzymywał dorosły najmnik. Wyrzucał gnój, orał, kopał, młócił, siał. Odrabiał cudze szarwarki.

Najczęściej pracował u Torki. Bogacz chętnie korzystał z jego usług. Z czasem dorywcze robotki zmieniły się w pół stałą służbę. Młody Koselarz rąbał u Torki drzewo, wyrzucał gnój, pomagał we wszystkich cięższych robotach. W zamian za to Torka używał mu koni do obróbki gospodarstwa, czasem na przywiezienie opału z lasu. Podczas żniw i młócki wypłacał mu, jak innym, „dniówki”. Niezależnie od tego „ciotka” Torkowa szykowała mu w tajemnicy przed starym, co pewien czas w jakiś płachetkę ziemniaków, jabłek, ogórków, chleba. Znosił to wszystko do domu.

Koselarz w życiorysie, który napisał przy wstąpieniu do partii, dokonał rozliczenia ze starym Torką. Według tego rachunku od roku 1929 do 1938, a więc w przeciągu dziesięciu lat — Koselarz się zastrzegł, że dokonał obliczeń na podstawie tylko jednego 1937 roku, a więc mogą zachodzić w tym zestawieniu pewne nieścisłości, jednak stosunek między jego wkładem do pracy a otrzymywaną płacą został z grubsza zachwycony obydwaj Koselarze, stary i młody przepracowali u Torki ponad 2.000 dni. W stosunku rocznym za dwieście dni pracy, nie licząc przypadkowych usług przy zwózce siana, zbieraniu owoców, wyrzucaniu gnoju, rąbaniu drzewa, Koselarze otrzymali ogółem 50 zł, 40 „płachetek” żywności, 8 dniówek konnych, każdorazowo śniadanie czy obiad. Licząc dniówkę roboczą na wet po dwa złote, dniówkę konną po 4 zł Koselarze za swoją pracę otrzymali w gotówce 82 zł, czyli wynagrodzenie za 41 dni. 159 dni przepracowali za „żywność” udzielaną dorywczo w „płachetkach”, oraz przypadkowe poczęstunki maki, która na polu Torki zbierała chwast: jedne „zajdy” dla Torkowej, drugie dla siebie.

W tym miejscu sprawozdania tow. Zielony zapytał Koselarza, czy zdawał sobie wówczas sprawę, na czym polegał wysiłek ze strony Torki. Koselarz odpowiedział, że nie zdawał sobie z tego sprawy. Wydawało mu się, że już tak być musi. Nawet nie myślał o tym, żeby coś mogło się zmienić. Dopiero oszustwo Torki, które wykrył pod koniec 38 roku obudziło ich ze snu. Uświadomiony jednak został podczas wojny, a naprawdę to po wyzwoleniu.

Stary Torka dokonał w tym czasie pewnej operacji, która przy niewielkich kosztach przysporzyła mu sześć hektarów ziemi. Dowiedział się o nieoczekiwanym spadku po bezdzietnym krewnym, który jeszcze w dwudziestym roku osiedlił się gdzieś koło Poznania i dotychczas nie utrzymywał z nim żadnych stosunków. Był to jakiś „cioteczny” brat, wspólny krewny Torki i Koselarza. Jak nawet stwierdził później stary Koselarz, bliższy krewny Koselarza niż Torki. Lecz stary Torka ani pomyśleć nie chciał o podziale ziemi. Nie spodziewany spadek zaprzagnął zdobyć w całości. Oddalenie i nieznanostwo sprawy we wsi sprzyjało jego zamysłom.

Natychmiast udał się do owego Kamienia, upoczerowawszy wyjazd chorobą. Narzekał w tym okresie na silne bóle „wewnętrzne”. W Kamieniu przedstawił dokumenty, stwierdzające pokrewieństwo ze zmarłym i ponieważ nie mógł jeszcze przejąć gospodarstwa, gdyż w urzędzie hipotecznym nie miał pełności, czy nie istnieją jeszcze inni spadkobiercy, ziemię tymczasem wydzierżawił, sam zaś za poradą adwokata podał ogłoszenie w „Monitorze” i w miejscowej prasie, które pod rygorem utraty praw nakazywało zgłosić się wszystkim ewentualnym spadkobiercom w biurze notarialnym w Poznaniu.

Ogłoszenie brzmiało: „Wzywa się wszystkich krewnych — spadkobierców po zmarłym Jakóbku Koselarsu, ur. 10.9.1880 r. w Woli, pow. sandomierskiego, zamieszkałym do 1.III.1938 r. w Kamieniu pow. Poznań do stawienia się i zgłoszenia praw w biurze notarialnym J. Nocunia w Poznaniu, ul. Krochmalna 10 w przeciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia. Osoby, które nie zgłoszą się w przepisany terminie będą uważane za nieżyjące.

Podczas nieobecności starego Torki gospodarstwem opiekował się młody Koselarz. Torka odjeżdżając zdał na niego ważniejsze prace — szybko następowała wiosna, słońce mocno dogrzewało, drzewa w ogrodzie puszczają już pierwsze liście, trzeba było orać, siać. Na parobka Torka nie chciał liczyć, nie dowierzał mu zbytnio, w rozmowie z żoną argumentował: zawsze to krewny, będzie się liczył, nie okradnie. Syn w tym czasie musiał pomagać choremu teściowi. Młody Koselarz stał się niejako głową gospodarstwa. Zabrał się z zapalem do pracy, całe dnie spędzał na polu Torki. Kiedy stary przyjechał, pole było już w trzech czwartych obrobione, zasiew dokonany, drzewa w ogrodzie doprowadzone do porządku. Koselarz znalazł nawet czas, aby poprawić gnojownik, który przeciekał. Bogacz obszedł pole dokola, popatrzał na porządku, gwizdał wciąż i sapał z zadowolenia. Nareszcie, jeśli zły porządek nie popsuje mu planów, stanie w rzędzie najbogatszych gospodarzy nie tylko wsi ale i gminy. Będzie miał 21 hektarów.

Torka miał pole położone na łagodnym zboczu góry, osłonięte od zimnych wiatrów niewielkim półkolistym laskiem. Ziemia była dobra; żyzna, przepuszczalna glina, dająca przy odpowiedniej uprawie i nawet stosunkowo niewielkim nawożeniu wysokie plony. Pole miało kształt foremnego czworoboku i sąsiadowało z folwarkiem hrabiego Lipkowskiego. Hrabia niejednokrotnie dawał do zrozumienia swojemu „sasiadowi”, że chętnie odsprzedałby mu część swojego folwarku. Tym razem Torka miał widoki na to kupno!

Największą ochotę miał na cypel folwarku, który bezpośrednio dotykał jego pola. Ziemia tam była dobra i nadawała się doskonale na ogród. Mógłby tam założyć nowy sad, było to nawet koniecznością, gdyż w starym niektóre drzewa były żarzone rakiem i nadmarżnięte. Nie chciało mu się zaś uzupełniać pola. Gdyby zdobył poznańskie hektary, sprawa nowego ogrodu stanęłaby na pierwszym planie.

Pod koniec lipca Torka otrzymał zawiadomienie o spadku. Osiągnął nareszcie swój cel. Wszedł prawnie w posiadanie ziemi. Obawiał się jednak, że w razie odkrycia jego postępu Koselarze mogliby jeszcze obalić ten sukces. Chciał się zabezpieczyć. Jak powiedział — „umocnić się”. Tym bardziej, że wśród biedoty wiejskiej rosło w tych latach coraz większe niezadowolenie. Trzeba było działać, zanim zaczęła się jakieś zamieszki. Jak to mówią: co w kieszeni to moje. Mówiono dosyć głośno o tajnych zebraniach chłopów w czwororakach dworskich, wymiennie nawet Matusa jako głównego inspiratora tych „buntów”. Pokazywały się czasem we wsi jakieś nieznanne twarze, bogacie podejrzewały, że to komuniści. Torkowie zdążyli podchwycić kilka przychylnych odezwanych się Koselarzów o tych tajemniczych gościach. Widziano nawet młodego jak wieczorem prowadził jednego z nich do chałupy Matusa.

Zdawało się, że dalekie wojenne burze, które przechodziły nad Austrią i Czechosłowacją, wpływają elektryzująco na nastroje chłopów w malej i cichej z pozoru wiosce. Chłopi wyraźnie buntowali się. W żniwa nikt nie chciał robić nawet po ustalonej zwyczajem 1 złotowej stawce. Żądano najmniej 1,50 zł. Bogacie poszli na ustępstwa, ale wzamian dniówka konna również podrożała. W niektórych wypadkach płacono 4 zł odrobek konny. Młody Koselarz również zażądał ścisłego wyliczenia za swoje „służby” i Torka zgodził się bez dyskusji.

Na początku sierpnia wykryto we wsi tajną komórkę komunistyczną, granatowa policja złapała tylko dwóch chłopów, Matusa i Laskiego. Dalej nicy się rwały, nie uchwycono dalszych kontaktów. Zdawało się jakby opozycja chłopstwa nieco przycichła.

W tym okresie Torka wykańczał swoje zwycięstwo. Wszedł w porozumienie z teściem swojego syna Bonieckim. Wtajemniczył go w szczegóły i wspólnie dokonali nowej transakcji. Torka sprzedał Bonieckiemu nowe gospodarstwo t. zw. „kupnym prawem”. Boniecki pożyczzył u sklepikarza Salaty 9.000 zł, na tyle oszadował ziemię. W obecności reagenta wpłacił tę sumę Torce. Spisano akt czynności Bonieckiego właściciela poznańskiego gospodarstwa. Po wyjściu od reagenta i opiciu całej sprawy pieniądze powędrowały z powrotem do Salaty.

(dokończenie na str. 6)



EDWARD MARTUSZEWSKI

BRYGADZISTA JOZEF WNUK

Państwowe Gospodarstwo Rolne, w którym pracuje Józef Wnuk, nastawione jest na produkcję hodowlaną. Rzecz zupełnie niezrozumiała — buraki i pszenica nie obrodzą tam, gdzie skała czai się 15 cm pod powierzchnią, a plug często wyciąga na światło dzienne spore, białe kamienie.

Józef Wnuk przybył tu w 1946 roku — skąd? Urodził się w powiecie mieleckim, podkarpacka ziemia była mu raczej macochą niż matką. Nie tylko jemu. Na trzech hektarach piasku miało „wyrósnać na ludzi” trzech synów i trzy córki.

W trzydziestym roku najstarszy spośród chłopaków, Józef, (mając wszystkich osiem lat) poszedł do krewnych, na wieś odległą o 10 km, na pastuchę. Potem, gdy sprzykrzyło mu się chodzenie za krowami odziedziczonego, ale też na służbę. Ze szkoły nikt za nim nie wołał. Jego „awans społeczny” polegał na tym, że gdy przestał służyć u kula-ków zaczął służyć u dziedzica.

Potem przyszła wojna i wywiezienie do Niemiec — do Württemberg — Baden — niedaleko jeziora Bodeńskiego. Tu jego „awans społeczny” znalazł swój punkt kulminacyjny. Po paru latach harówki u bauera trzeba było przez kilka tygodni kopać okopy pod Fryburgiem, często pod ostrzałem czołgowym i samolotowym. Wreszcie 5 maja 1945 roku wojska francuskie rwały go wyzwolić.

Do obozu pójść nie chciał, a repatriacja była jeszcze sprawą przyszłości. Zapisał się więc do oddziałów strażniczych, które patrolowały na jeziorze Bodeńskim lub też pilnowały niemieckich faszystów w tamtejszych więzieniach i obozach. Gdy jednak zaczęto repatriację, a kapral francuski nie chciał słyszeć o jego prośbach zwolnienia ze służby, Józef cisnął mu pod nogi karabin, pas i ładownicę. Posiedzielił sobie za to 14 dni w areszcie, ale echa jego sprawy dotarły do polskich oficerów łącznikowych i w parę tygodni potem Józef był już u swoich.

Dokoła ojcowskiej chałupy leżały w ziemi miny, a na powierzchni rozbita czołgi i armaty niemieckie. Ojciec chciał, żeby się ożenił i został z dwoma braćmi i trzema siostrami na tych sześciu hektarach, które mieli teraz po reformie rolnej. Ale Józef, wbrew ojcu i rodzeństwu, pojechał na Zachód, do znajomych, którzy odważyli się na ten krok przed jego powrotem do kraju. I został już w tej okolicy, do której latem zjeżdżają tysiące czasowiczów, chorych i turystów.

Został karbowym w jednym z Państwowych Gospodarstw Rolnych. Było to najdalej na zachód wysunięte gospodarstwo w Zespole, składającym się wówczas z 9 jednostek gospodarczych. Leżało w górach, na

samej granicy czeskiej. Inne gospodarstwa Zespołu, leżące w dolinie, wokół wioski, w której mieszcila się administracja, całości, miały lepszą ziemię. Mogły więc nawiązać się nie tylko na hodowlę bydła, ale i na produkcję zbożową, a pozatem korzystali z bliskości punktu zaopatrzenia, nie pamiętając o tych, którzy musieli pracować na peryferiach.

W zagubionym w górach gospodarstwie Józefa Wnuka „centrum” stanowiła chlewnia mateczna, prowadzona przez niewysiedlonego jeszcze Niemca, byłego sługę generała von... Cieszył się on zaufaniem przełożonych jako „doświadczony fachowiec”, lecz gdy wyjechał wreszcie do Niemiec okazało się, że chlewnia podobna była do stajni Augiasza. Jego miejsce zajął Józef Wnuk.

Wydawałoby się, że dzięki temu przeniesieniu na inne stanowisko uzyskał szerokie pole do popisu. Stał się bowiem kierownikiem oddziału produkcyjnego. Jeśliśby 25 macior w jego chlewni prosiło się 3 razy w roku i dało za każdym razem 15 prosiąt, przychówek roczny wyrażałby się piękną cyfrą 1125 sztuk... Trzydziestu kolegów pracowało na 360 hektarach gospodarstwa właściciela rzecz biorąc — głównie dla jego świni. Jego obowiązkiem miało być jedynie karmienie, hodowanie, podnoszenie ilości prosiąt w chlewni. Kilkutodniowe prosięta miały być odbierane do innych gospodarstw Zespołu, a wybrakowane — do tuczarni. Okolicznym chłopom należało pokazać jak należy hodować świnię...

Rzeczywistość rozwiała te marzenia. Największy wysiłek robotników P. G. R.-u musiał być skierowany przeciwko... kierownikowi. Trudno im było przekonać „tych u góry”, że popełnili grubą błąd, oddając kierownictwo gospodarstwa byłemu ziemianinowi, który umiał jedynie sypać pięknymi frazesami politycznymi. Byli tacy, którzy dali się na nie nabrać. Dopiero na jesieni okazało się, że 20 ha konieczny trzeba było zaościć... Trzeba było? Nie. Można było wypełnić nią silosy i mieć olbrzymi zapas kisonki, ale pan kierownik uważał, że lepiej zaościć. Nie był to zresztą jedyny jego „wyczyn” gospodarski w okresie urzędowania. Jego podwładni (a wśród nich Wnuk) widzieli z tygodnia na tydzień, jak spełniają się ich najgorsze przepowiednie.

Dopiero namacalne dowody winy spowodowały zdjęcie pana kierownika z jego stanowiska (i przeniesienie go do Centralnego Zarządu P. G. R. w Warszawie!). Nadchodziła zima. Przyszedł nowy kierownik. Stwierdził brak paszy tak dla krów jak i dla świń. Stwierdził i zaczął interweniować w kierownictwie Zespołu. Zaczął domagać się telefonicznych „podrzucań” paszy z innych gospodarstw i zabrania nad-

wyżki świń z jego chlewni. Odpowiedział było — poczekaj, poczekaj — nie mamy jeszcze dokąd przenieść.

A sytuacja w chlewni stawała się istotnie niepokojąca. I to nie tylko na odcinku paszy. Maciory prosiły się, ale wpływały miesiące zanim małe i tylko w części mogły „pójść w świat”. Chlewnia była obliczona na pomieszczenie około stu sztuk (25 macior z przychowkiem do 8 tygodni), a tymczasem coraz więcej było w niej prosiaków 8-miesięcznych, a nawet i starszych. W grudniu 1949 roku w chlewni tłoczyło się i guryło przy lada okazji 260 sztuk.

Wśród czekających na odtransportowanie do tuczarni lub do innych gospodarstw (na hodowlę) 110 było pokrytych świerzbem. Stało się jasnym, że o uzyskaniu pięknych wyników w ilości i jakości wyhodowanych świń nie mogło być nawet mowy.

Nowy kierownik i brigadzista Wnuk zdawali sobie sprawę z poważnej sytuacji. Nie powiedzieli jednak: „my w takich warunkach pracować nie możemy”. Wybrali inne wyjście.

Podczas, gdy kierownik gospodarstwa interweniował drogą służbową w administracji Zespołu... bez skutku, Wnuk wraz ze swym pomocnikiem walczył w chlewni ze świerzbem i głodem. Zaprowadził rygorystyczną czystość, pilnował, aby każdy wchodzący do chlewni wycierał buty o „wycieraczkę”, zabijając zarazki. Systematycznie nacierał chore sztuki zakupionym przez kierownika lekarstwem. Ze 110 sztuk stracił tylko dwie — najslabsze. Resztę wyleczył. Mógł teraz bez wielkiego wstydu oddać je innym. Nie nadawały się wprawdzie na wystawę rolniczą, ale były przynajmniej zdrowe.

Tuczarnia i kierownictwo Zespołu nie dorównywały jednak w pracy brigadziście Józefowi Wnuce. Zator trwał w dalszym ciągu. Planowano zbudowanie drugiej tuczarni, obiecywano, że „już wkrótce”, w najlepszym wypadku podrzucano odrobinę paszy, zamiast zlikwidować ciastnotę i trudności aprowizacyjne przez odebranie przychowku, czekającego na to już od roku.

Skazany na obojętność kierownictwa Zespołu, zdany na własne siły, Józef Wnuk musiał utrzymać przy życiu swoich „podopiecznych”. Dbał więc o idealną czystość pomieszczeń, dopilnowywał parnika, starannie przygotowywał karmę, rozdzielał ją na równe porcje i natychmiast dostarczał zgłodniałym. Pracą swoją i staraniem przemieniał ilość w jakość. Dzień w dzień, przez cztery miesiące zimy, w marcu zaczął wypływać nieliczne dni pogody, by wyprowadzić część świń na pole, by choć na kilka godzin zlikwidować awantury w pomieszczeniach.

Plewy, otręby i śrut przy całkowitym braku ziemniaków i płatków ziemniaczanych (dla prosiąt) utrzy-

mały świnię przy życiu, ale też zdyskwalifikowały chlewnię, która miała być przecież mateczną, zarodową, a stała się dostarczycielką wybrakowanych sztuk, nadających się jedynie na tuczenie. Tylko 30 proc. nadaje się jeszcze na hodowlę. Jeszcze. A co będzie za parę miesięcy?

W kwietniu najgorsze minęło. Z chlewni Józefa Wnuka zabrano 80 warchlaków. Ale sytuacja w dalszym ciągu jest poważna. Maciory proszą co do kilku dni — na szczęście nie rekordowo. Gorzkie jest to „na szczęście”. Lecz nie widać jeszcze dnia, w którym Józef Wnuk będzie mógł przejść z obrony stanu posiadania do ofensywy. Trzeba więc przyjąć mały przychówek raczej z zadowoleniem w sercu. Choć chciałoby się inaczej.

Józef Wnuk, który przed kilkoma miesiącami wyleczył 110 sztuk ze świerzbem, a stracił wtedy dwie najsłabsze, Wnuk, który postanowił przetrzymać urzędowy tok załatwiania spraw gdzieś tam u góry i pokazał co to znaczy „socjalistyczny styl pracy” — nie zaspokaja premie. Nie należy mu się. Przecież żadna z macior w jego chlewni nie da w roku 50 sztuk prosiąt w trzech miesiącach, przecież trudno nazwać wzorową taką chlewnię, w której nieleżące tylko sztuki mają „przepisową wagę”.

Józef Wnuk nie myśli jednak o premii, gdy opowiada o swojej pracy, patrzając początkowo bez przerwy na nosy swych zabłoconych butów gumowych. Skądinąd wiemy, że gdy proponowano mu objęcie stanowiska kierownika sąsiedniego P. G. R.-u spytał się przede wszystkim o swoje następcę w chlewni. Usłyszał parę nazwisk, ale żadne z nich nie przekonało go. Nie zgodził się na objęcie wyższego stanowiska, bo przecież:

— Nie wiem, czy któryś z nich da sobie teraz radę...

Być może, gdy jego interwencje (drogą urzędową i drogą partyjną) odniosą wreszcie skutek, gdy człowiek, który przejmując jego chlewnię, będzie mógł rozpocząć walkę o jej stały rozwój, być może wtedy Józef Wnuk zjeździe ze swego stanowiska, aby przejść tam, gdzie będzie bardziej potrzebny.

Taka jest historia Józefa Wnuka, brigadysty w Państwowym Gospodarstwie Rolnym. Ma on obecnie 28 lat, jasne włosy, szczupłą twarz, robotnicze spojrzenie. Ma też dwu małych synków. I wie o co chodzi.

Edward Martuszeński

PODPISUJEMY
APEL POKOJU

PIOTR CHMURA

\$WIĘTO SOJUSZU

Obchód „Święta Ludowego” zapoczątkowany został przed 20 laty. Był to rok 1931. Uchwalono „Święto Ludowe” na Kongresie Zjednoczeniowym Stronnictw Ludowych. Łączyły się: „Piaś”, „Wyzwolenie” i „Stronnictwo chłopskie”. Łączyły odgórnie poprzez dotychczasowy aparat swych władz naczelnych. Po rozbiciu „Centrolewu”, a podczas procesu brzeskiego odbywające się Zjednoczenie legalnych stronnictw chłopskich „było już tylko — jak nazwał marszałek Kowalski — lamentem przywódców na własnym polityczno-moralnym pogrzebie”.

Zjednoczenie ruchu chłopskiego wyrosło bowiem nie z walki ale z polityczno-moralnego bankructwa, jakie przyniosło „związanie rąk” z burżuazyjnym obozem, związanie datujące się jak w „Piaś” od r. 1913. W górach i wiazadach organizacyjnych stronnictwa te od dawna przeżarte agenturami burżuazji endeckiej i pilsudczykowskiej (Wyzwolenie, Stronnictwo chłopskie) teraz, kiedy po przez zamach majowy i Brześć burżuazja rozprowadza się z ruchem ludowym zdecydowanie — musiały krocząc po drodze kapitulanta.

Warto przypomnieć, że Witos, który, wypuszczony z więzienia do czasu rozprawy sądowej, brał czynny udział w organizowaniu Kongresu i został na nim wybrany prezesem, na procesie brzeskim stojąc wobec zarzutu przygotowania rewolucji tak odpowiadał: „Chciałbym aby pan oskarżyciel wskazał mi na to, kiedy chłopci robili rewolucję. Znam chłopów jako element nadzwyczaj spokojny. Polskę na rebelię, na zamachy i na rozruchy nie stać. I będzie to trwało jeszcze długo.” Oto fundament, jaki zakładały góry stronnictw pod Zjednoczenie. Zjednoczenie nie powstało po to aby być siłą zagrażającą faszystowskiej dyktaturze sanacji, aby z nią walczyć poprzez bunt, rozruchy, rewolucję, a wprost przeciwnie — koalicja klubów poselskich i prezesów stronnictw ludowych zakładała jako cel zjednoczonego ruchu ubezpieczenie dyktatury burżuazji na długie lata. Zjednoczenie „lutowało się” wbrew nadziejom mas chłopskich, które spodziewały się po nim właśnie zorganizowanej walki do upadłego. Bo wbrew temu co Witos mówił, że „Polski na rebelię, na zamachy i rozruchy nie stać”, już ją było stać w 1918 i 19 r. na krwawą kontrrewolucję burżuazji, na zepchnięcie w podziemia komunistów, na zamach majowy, na uwięzienie opozycyjnych przywódców politycznych, a miały przyjąć pacyfikację, Berezę Kartuską, rozgromy żydowskie, sekwestry podatkowe i bankowe, bezrobocie robotnicze i chłopskie, rosnąca nędza mas, kartelizacja, konstytucja faszystowska, policyjny terror, dławienie strajków, wolności stowarzyszeń i prasy, sojusz z Hitlerem, ułatwiający Niemcom podbój Polski i napad na Związek Radziecki.

Na Kongresie Zjednoczeniowym uchwalono coroczne obchodzenie „Święta Ludowego”. Intencją posłów

i panów prezesów było oddzielić nurt chłopski od robotniczego, przeciwstawić „Święto Ludowe” 1 Majowi. Zjednoczone Stronnictwo miało mobilizować do obrony burżuazji przez walkę z klasą robotniczą. Ale coraz bardziej biedniejsze i uciskane szeregi członków Stronnictwa Ludowego i całe masy chłopów nadały jednak „Świętu Ludowemu” treść rewolucyjną, nawiązującą do sojuszu i pogłębiającą sojusz chłopsko-robotniczy.

Gdy bowiem w latach koniunktury (26—27 r.) zadłużenie drobnych gospodarstw wynosiło na ha 103 proc. rocznego dochodu już w roku 1929—30 dochód spadł o 1/3, a zadłużenie roczne osiągnęło (przeciętnie) 300 proc. dochodu. Uderzenie było straszliwe.

Dyktatura polityczna ukazała się masom chłopskim na wsi w postaci gospodarczej dyktatury karteli i banków, folwarków i kułackiej lichwy, najmu i odrobku. Był to początek rosnącej fali. Od 1932 r. już wyruszbowa cena pluga, nawozów i butów, znów podskoczyła do r. 1936 dwukrotnie. Badania w r. 1935 ukazują ponad 3% gospodarstw kartonowych, około 7 milionów bezrobotnych na wsi. W 35 r. produkcja przemysłowa ustala się na 65 proc. stanu produkcji przed kryzysem. Bezrobocie obejmuje pół miliona robotników fabrycznych. W 1932 r. sanacja unifikuje koła rolnicze (CTO i KR) czyniąc z nich organizację partyjną swego obozu. W 1934 r. chce narzucić związkowi zawodowemu korporacyjną, faszystowską unifikację. W tym roku zostaje zawarty pakt wojenny z hitlerowskim Niemcami.

Na gościach, folwarkach i miasteczkach po r. 1930 znalazły się (z roku na rok rosnące) masy robotników rolnych, chłopów z gospodarstw karłowatych i małych rolnych w walce, która szła wprost przez rozruchy i starcia, w walce, która miała perspektywę walki bezpośredniej o władzę. W walce, której ten sam rytm bił tylko w dwu ogniskach strajków, wystąpień i manifestacji: w robotniczym i chłopskim. W chłopskim szedł po omacku. Wybuchy buntu i protestu rozpylane na terenie kończyły się rozstrzelaniami na nieprzewidywanym polu walki trupami chłopskimi, procesami, pacyfikacjami.

Imperializm dyktaturą sanacyjno-faszystowską zepchnął masy chłopskie na dno nędzy. Weszły one w tak zastraszony i powszechny konflikt charakterystyczny dla sprzeczności okresu imperialnego, że słusznie KPP nazwał rok 1935 rokiem przełomu. Narastały obiektywne możliwości rewolucyjne. Masy chłopskie stawały się naturalnym sojusznikiem klasy robotniczej, odważnym i ofiarnym.

Pod powłoką stronnictw i partii legalnych narastał wspólny front walki i doświadczeń, przywódcą rola przesuwała się do rąk KPP.

Chłopi idą na spotkanie z robotnikami, rozpalają się pod wpływem

ich agitacji, przekraczają pod ich przewodnictwem za każdym razem próg chłopskiej ostrożności i nie tchórzą przed śmiercią, pacyfikacjami i więzieniem.

Święto Ludowe wplotło się w latach 1931 — 39 w łańcuch strajków chłopskich, krwawych manifestacji i starć. Od strajków wołyńskich poczynając poprzez masakry pod Lublą, Łapanowem, Leskiem, Jadowem, Daleszycami, Krzeczwicami, Ostrowiem, Raclawicami i na Zamojszczyźnie aż do wielkiego strajku w 1937 r.

Święto Ludowe to były miejsca i momenta, gdzie coraz wyraźniej i ostrzej potępiały masy chłopskie uległość sanacyjnych rządów wobec Hitlera, domagały się zawarcia sojuszu ze Związkiem Radzieckim wbrew zaprzędanym burżuazji prawicowym przywódcom. Str. Lud., którzy obrony przed Hitlerem szukali u angielskich lordów i bankierów.

Zbiedzone i sponiewierane masy chłopskie domagały się radykalnej reformy rolnej, rozwiązania karteli kapitalistycznych, wreszcie uspołecznienia fabryk, kopalni, banków i lasów.

Obchody Święta Ludowego, które miały osłabić siły mas pracujących wedle zamierzeń adwokatów, dzieciów i bogaczy chłopskich, będących postami stronnictwa ludowego, stały się w większości wypadków wyrazem wrzenia rewolucyjnego na wsi, gdzie docierały hasła robotnicze i idea Frontu Ludowego.

Obok strajków, pacyfikacji, rozpraw sądowych, Święta Ludowe stały się jeszcze jedną formą mobilizacji mas chłopskich, poprzez którą wznosiły się one ponad wolę kierownictwa Stronnictwa, pragnącego utrzymać szereg członkowskie na pozycji rezerwy burżuazji i jednoczyły się z rzeczywistym sojusznikiem i przewodnikiem w walce o wolność narodu i wolność społeczną.

Proces ten pogłębiał się coraz bardziej. Wielki strajk chłopski w 1937 roku został przez Kierownictwo Stronnictwa (Mikołajczyk i Kot) w organizacyjnych przygotowaniach jawnie zdradzony przez wyłączenie województw wschodnich, jako „skomunizowanych” i przez skazanie go na samotną demonstrację. A kiedy wybuchł, Stronnictwo wyparło się siły, jaką ujawniły masy i celu, dla którego śmierć poniosły dziesiątki chłopów, a setki chłopów rany, a tysiące poszło do więzień. Była to zdrada wobec własnych dóbr, wobec frontu robotniczo-chłopskiego, kiedy skrzydło robotnicze nie pozostało strajku chłopskiego osamotnionym, kiedy KPP rzuciła wszystkie siły na pomoc chłopom i ukazała społeczeństwu w odczynie prawdziwą, rewolucyjną wymiar strajku. „To warzyse i Obywatela! Przelamać mur milczenia, którym faszizm chce otoczyć i przydławić bohaterską walkę chłopstwa!”

W okresie okupacji nie zanikło Święto Ludowe. Obchodzili je chłopi

w lasach pod ochroną Batalionów Chłopskich.

Pierwszy obchód Święta Ludowego w wyzwolonej przez Armię Radziecką Polsce odbył się w 1945 r. Obchód ten został zorganizowany przez Stronnictwo Ludowe, które u boku Polskiej Partii Robotniczej zdążyło już rozparcelować większość folwarków i przezaćać ziemię folornalną, małorolnym i średniorolnym chłopom.

Następne Święta wplatały się w nowe wielkie doświadczenia rewolucyjne. Pod przewodnictwem klasy robotniczej masy chłopskie łamały opór wywłaszczonych obszarników i kapitalistów, ich militarnych rezerw w bandach zbrojnych, ich politycznych szanów, okopywanych w reakcyjnej partii „dla wszystkich”, jak głosił podtytuł organu Mikołajczykowski PSL.

Demaskowały we własnym ruchu agentów imperializmu, ich zdradzającą masę ludową i naród propagandę „nie brać ziemi”, nie załudniać ziem odzyskanych, nie wiązać się w sojusz z klasą robotniczą, nie zacieśniać przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, ostoja pokoju, wolności narodów i sprawiedliwości społecznej.

Masy chłopskie załudniały spontanicznie ziemie nad Odrą i Nysą. Odbudowały w rolnictwie zniszczenia i wyrównały straty wojenne, przekraczając w uprawie zbóż poziom przedwojenny. Szczęją się w odbudowie i przebudowie rolnictwa osiągnięciem, które nimmi wymiany uspołecznionej, kontraktacji i spółdzielczości łączą się coraz silniej z socjalistycznym przemysłem i klasą robotniczą.

Tegoroczne Święto jest pierwszym świętem Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, prawdziwego zjednoczenia ruchu ludowego, które stało się możliwe dopiero w Polsce Ludowej, kiedy — jak mówił Prezydent Bierut — „lud pracujący poczuł się twórcą i gospodarzem własnego kraju, jedynym i rzeczywistym sternikiem jego losów, wielkim budowniczym jego przyszłości”.

Jest to dlatego Święto sojuszu i jedności z klasą robotniczą, Święto zakładania fundamentów socjalizmu pod przewodem klasy robotniczej i jej partii w Polsce. Święto, w którym manifestuje się wola mas chłopskich już poświadczona pracą i przemianami w organizacji rolnictwa, wola przebudowy Polski na kraj kвітający dobrobytem, radością i sprawiedliwością.

Manifestuje ono dlatego najżywiej wolę pokoju, wolę walki o pokój w wielkim froncie światowym mas ludowych i narodów, którym w tej walce prowadzi Związek Radziecki, kraj zwycięskiego socjalizmu, kraj szczęśliwego życia mas pracujących i narodów.

Manifestuje się wola walki o pokój, jako wyraz zrozumienia przez masy chłopskie istoty zagrożenia wolności narodu i władzy robotniczo-chłopskiej jaką niesie imperializm amerykański.

PIOTR CHMURA

JÓZEF ANIOŁ

PIEŚŃ O SOJUSZU

Czerwień — z zielenią.

Chłop — z robotnikiem.

— Hej, dudni ziemia tupotem nóg!
Sztandary w blaskach zwycięstw się mienia,
usta powietrze prują okrzykiem:
Niech żyje pokój!
Niech zginie wróg!

Dawniej szła trasa na Nowosielce,
trasa znaczone śladami krwi.
Dziś — robotnicze i chłopskie ręce
pochód sterują w radosne dni!

Dawniej — okrzykom buntu i gniewu
wtórował w piersi mierzony strzał.
Dziś — pieśń przewodzi a pośród śpiewu
traktor bojowy refren nam gra.

Warcicie traktory
konie piekielne
na równych polach
wielkich spółdzielni.

Płonie w sojuszu
czerwień z zielenią,
wspólna moc rusza
w posadach ziemią.

Szumie sztandary! —
swoim łopotem
dodajcie wiary
italskim chłopom.

Z klasą roboczą
przewodnią siłą
naprzód! — by dawne
sny się spełniły.

Ślijcie swą radość
hen w świat daleki
braciom znad Wołgi
i Złotej Rzeki!

W rażnym pochodzie
płyną szeregi,
w uśmiechu słońca
płyną bez końca...

Takiego marszu nie powstrzyma,
hien kapitału — daremny trud!
Niech się podżęgać pieni i zżyma,
chce mu się wojny? — dostanie grób!

Z fabryk i wiosek — naprzód lawiną
po grzbietach wrogów przejść trzeba nam.
Póki nie padną, póki nie zginą
czuiny badź! —

czynem rąk
opór łam!

WŁADYSŁAW MACHEJEK

ZJEDNOCZENIE

(FRAGMENTY)

I.

Ciążyło coś ciężkiego — lata, wiek — taki młyński kamień,
u głów, u głów i u rąk.
Ale te same ręce szły głęboko jak pamięć,
szły w głąb.

Co wiosnę wybuchała zieleń, co wiosnę,
i sok nienawiści zamieniała w krew.
Cóżby było z tych pochodów dla wsi wyrosło,
choćby były odważne i wbrew?

Szły chłopy, szły bić na odlew, gromadnie jak bór-brat
a rozdarcie miedzy wracały.
Cóż z tego, że bór trwał, niezarwany siekierą lat,
gdy dzieci z głodu białe?

Pewnej wiosny zeszyli się dwa ruchy w głębi, spletaną troską,
spłatanie korzenie ogłosiły pobór.
Ręka z ręką pogadała, obróciły rzeczy kalejdoskop,
przeniosły pod słońce obóz.

II.

Czy pamiętasz Raclawicki Kopiec? Szliśmy do ataku,
ty ludowiec, ja komunista.
Dwa bory krzepkie szły z nami ze ziemi na bakier,
pierwszych krzywd wystrzeliły listę.

Hej, kłonicami, kłonicami wygrzebaliliśmy promienne ziarno,
hej schodziliśmy wspólnie ugor.

Twarz sanacji miała psi pysk w sprawach ziemi czarnej,
dwór zaprzęgał do plugów.

III.

Dokądże teraz, naprzód, w tył? Jeszcze niezorany odtóg,
choć stracone bogi leżą pokotem.
Jeszcze raz przejdźmy ziemią — górą i od spodu,
nowym sokiem napoimy — potem.

Będziemy dla wsi gwiazdy kraść, dla chat światło kraść,
w Sześciolatce rozłożeni obozem.
Aż wrogom w bezwładzie rozłożymy splugawioną garść,
przeżygniemy czerwoną zorzą!

STANISŁAW PIĘTAK

CHWILA DZIEJOWA

Naiwny nosilem pod powieką gorące obrazy.
Spienione konie z jaszczem pędziły na wzgórze.
Blysk broni, postoje pod gwiazdami, śpiewy na przelazach.
Sztandary w obłoku gęstniały na kurzącej się górze.
Jednakże potem, jednakże potem... Ze spalonych kabin
wyciągano kości wpół węgla, wpół człowieka.
Dzieci marły pod czołgami rozdarte jak kraby.
Zatraskiwała się ziemia nad żywymi jeszcze jak skrzyń wieka.
Pochylony od wstydu, odrzucałem dawne myśli,
ale oto znów i we snach nadchodzili mnie polegli,
krzycząc, że za co na słupach, na drzewach przydrożnych zawiśli —
pokój trwały, byt szczęśliwy jak wiek znów jest odległy...
Pojąłem tedy, że przedwcześnie jest i myśli rozbrojenie.
Na słabość naszą jak sęp przeciw czeka zimne oko wroga.
Pamięć zabitych wola nas nie o żałość, o westchnienie,
ale by w imię ich śmierci z mieczem stać na ojczyznych progach...

PARTIA PRZYJMUJE KOSELARZA

(Dokończenie ze strony 5-ej)

Po upływie paru miesięcy Bonie i zapisał nowonabyte gospodarstwo zięciowi, młodemu Torce. Zęby jednak dobieć ostatniego gwoźdźca Pietrek sprzedał gospodarstwo poznańskie, nabył zaś 8 hektarów u hr. Lipkowskiego. Narazie starszy Torca poczuł się mocny. Zaokrąglił gospodarke i chociaż nominalnie właścicielem nowej ziemi nie był on, lecz Pietrek — moralnie czuł się gospodarzem na całych 23 hektarach. Dochodziła jeszcze i ta korzyść, że nie musiał zrzekać się, jak opiewała pierwotna umowa z Bonieckim, na rzecz Pietrka części starej gospodarci. Jego pozycja gospodarza została uratowana. Przeciwnie, nawet wzrosła.

— Mój dalszy życiorys — mówił Koselarz — jest taki. Przypadkowo dowiedzieliśmy się o całej historii ze spadkiem. Salata po pijanemu wygadał się, że pożyczal pieniądze. Powoli doszliśmy całej prawdy. Jaka była rozpacz w domu! Ojciec chciał podpalić zabudowania Torkom. Gdyby nie matka, która nie puściła mnie i pilnowała, byłbym w pierwszym gniewie pozabijał obydwu Torków i Bonieckiego. Gdybyśmy nawet otrzymali ze spadku połowę, to i tak stanęlibyśmy na nogi. Ojciec jeszcze dowodził, że nam się wszystko należało! Chodziliśmy jak struści. Do kogo było się udać? W gminie powiedziano, że akt jest prawomocny. Matka poszła do księdza i ksiądz powiedział, żeby się pogodzić z wyrokiem Bożym. Policja ruszyła ramionami, Torca ich często gościł u siebie.

— Najgorzej na tym wyszła matka, bo zanim wybuchła wojna, umarła. Ojciec zawziął się i zapowiedział, żeby nikt z domu nie powazył się przekroczyć podwórka Torki. Nie nazywał Torki inaczej jak „stary złodziej”. Nie ustępował mu też nigdy z drogi, nawet kiedy Torca jechał końmi ojciec nie zba-

czał i Torka musiał wstrzymywać konie, albo kierować wóz na bok. Ten fragment życiorysu wzbudził ożywioną dyskusję. Tow. Kwiecień zastanowił się, dlaczego Koselarz w tym okresie chociaż ekonomicznie trwał na pozycji półproletariusza i nie obce mu były sprawy tow. Matusa, nie wszedł na drogę czynnej walki z ustrojem. Wprost przeciwnie, można było zauważyć, że po pamiętnej historii z parcelą Koselarze odwrócili się od radykalizujących chłopów, z którymi przedtem utrzymywali kontakty. Na kogo właściwie „pogniewali” się Koselarze?

Tow. Kwiecień zastrzegł się, że nie stawia zarzutu, chociażby z tego powodu, że Koselarz nie miał wówczas nawet osiemnastu lat. Ale to ciekawa historia, dlaczego krzywdą wyrządzona przez bogacza zamiast zepchnąć Koselarzów na pozycję walki z bogaczem odwraca ich od tych zagadnień.

Tow. Zielony podkreślił, że niezwykle trudno było pracować w ówczesnych warunkach. We wsi było 90 gospodarzy, z tego 8 od 10 do 20 ha, 10 od 7 do 10 ha, 22 od 4 do 7 ha, 50 od 0 do 4 ha. Przeważała biedota. Z organizacji tylko Wici radykalizowały i niektórzy eselowcy. Bogatsi kierowali się w stronę Ozoneu. Gdyby tow. Zielony zamiast rąk nawykłych do pluga mógł w tym czasie władać piórem chociażby w takim stopniu jak dzisiaj po kursach partyjnych, mógłby z całą ścisłością wykreślić plan wsi, gdzie 10—12 gospodarzy uzależniało od siebie gospodarzo resztę chłopów. Kto każdego bogacza skupiało się po kilku biedniejszych chłopów, w większym lub mniejszym stopniu odrobnińców. Bogatsi związani byli różnymi więzami z władzami, prowadzili organizacje wiejskie, stanowili wzór „gospodarcza”. Koselarz mówiąc o Torce niezupełnie dokładnie ukazał jego właściwe oblicze spekulanta i wyzyskiwacza ludzi pracy — może dlatego, że jeszcze dzisiaj ciąży na

nim wpływ Torki. Bez wątpienia przed wojną, w okresie kiedy przed chłopem odrobkowym Koselarzem otworzyły się widoki zdobycia majątku — nie zdawał sobie Koselarz sprawy, że ten majątek mógł zdobyć tylko tą samą drogą co Torka. Koselarz myślał, że zdobywając ziemię, lub będąc jej posiadaczem stanie się inny niż Torka. To tylko bajka o dobrych bogaczach. Nie ma „dobrych” i „złych” bogaczy, są tylko źli, w ustroju kapitalistycznym nie może być inaczej. Koselarz przed wojną nie był wrogiem klasowym Torki, był tylko jego konkurentem do tej samej pozycji klasowej.

Koselarz przyznał, że był w błędzie mówiąc poprzednio, iż oszustwo Torki „obudziło ich ze snu”. Przeciwnie, pograżyło ich w jeszcze większy sen. Ojciec zapiekl się w swoim gniewie i dał słowo, że nigdy jego noga nie stanie na gruncie Torki. Ale zamiast Torce służyć dziedzicowi i innym bogaczom. Przez całą wojnę pracowali na polu dziedzica i to uchroniło ich od łapanek robotycznych do Niemiec. Jedną korzyść wyniósł Koselarz z tego okresu. Ponownie zetknął się z chłopami folwarcznymi, z Matusem, który jako więzień brał udział w obronie Warszawy a potem powrócił na wieś, z Kwietniem, Możdżeniem. Był w B. Ch. i tam chodził do tajnej szkoły, przerobił VII klas, nauczył się pisać i czytać. Właż jednak nie wybył się nadziej na odzyskanie „majątku”. Oczekiwał wolnej Polski i sprawiedliwości. Myślał, że nie tylko przed Torkami staną możliwości rozwoju, ale każdy chłop będzie mógł uzupełnić swoje gospodarstwo. Jeśli nawet nie uzyska „swojej” ziemi, to zdobędzie z reformy rolnej.

— Wypowiadam te swoje myśli, towarzysze — mówił — żebyście wiedzieli, w jakim błędzie byłem jeszcze po wojnie, i jak późno do-tarła do mnie świadomość klasowa

mimo, że miałem warunki po temu, aby wcześniej stanąć w szeregach walczących.

Z reformy rolnej otrzymał 4 hektary. Spodziewał się, że po odebraniu Torce 6 będzie miał razem 10. To go przez dwa lata upajało. „Własna parcela” trzymała go też we wsi i nie pojechał jak inni na zachód.

Bankructwo Mikołajczyka otwo-

rzyło mu oczy. Załamał się w swo-

jej wierze w kapitalizm. Spo-

strzegł, że za mandatami Mikołaj-

czyka stali Torkowie. Koselarz

chciałby być bogatym jak Torka,

ale nie chciał być Torką. Torka

przecież jest bandytą, a on nim

być nie chce. A tow. Zielony do-

wiódł, że i on po wojnie był takim

małym Torką.

Taka jest moja droga życia —

kończył Koselarz. Późno wstępuje

w szeregi walczących. Ja was opu-

ściłem — wy, partia nie opuścił-

cie mnie. Podczas wojny dzięki

Matusowi nauczyłem się czytać.

Po wojnie dzięki partii nauczyłem

się widzieć. Jeszcze nie tak jak

należy, ale chcę widzieć coraz le-

piej. Daliście mi do czytania Sta-

lina, Lenina, o spółdzielczości pro-

dukcyjnej, o partii. Czytałem książ-

ki kolchozników i kolchoźnie ra-

dzieckich o nowym życiu. Tow.

Kwiecień opowiadał o swojej wy-

cieczce na Ukrainę Radziecką.

Zrozumiałem, że nie mogę być

„dobrym Torką”, ani złym tym

bardziej. Chcę wstać na nową,

socjalistyczną drogę życia.

*

Po młodym Koselarzku na środek izby wstąpił drugi kandydat, ob. Żelazny, b. folnal w majątku hr. Lipkowskiego, właściciel 4 hektarowej gospodarci nadanej przez reformę rolną.

Zebrań zaczęło się o godzinie 16, zakończyło o 23. W ciągu siedmiu godzin załatwiono tylko te dwie sprawy: przyjęcie dwóch małorolnych chłopów do partii.

TADEUSZ PAPIER

LUDWIK FLASZEN

NA TROPACH WIELKIEJ KŁĘSKI

Nowele Stanisława Zielińskiego*) zawarte w dwóch debiutanckich tomach, posiadają bardzo jednolity zakres tematyczny. Traktują o klęsce wrześniowej jej tragicznych konsekwencjach, o zbrodniczej głupocie tych, którzy należeli do bezpośrednich sprawców nieszczęścia narodu, a klęskę uważali za drobną — bez głębszych następstw historycznych — porażkę strategiczną, oraz o wielkim rozczarowaniu tych, którzy z krwawego trudu dni wrześniowych i bezdroży emigranckiego żywota wynieśli gorzki owoc nauki i doświadczenia. Nowele Zielińskiego stanowią próbę obrachunków z sanacją i jej andersowskimi pogrobkami; próbę literackiego osądu tych, których historia osądziła już od dawna.

Nowele Zielińskiego dzielą się na kilka grup o swoistym obliczu konfliktów, sytuacji, spraw. Grupa pierwsza marzec — sierpień 1939, Polska; ostatnie miesiące przed wojną, pierwsze pomruki nadchodzącej burzy; niefrasobliwość i tepota polityczna wojskowych sfer sanacji; przecucie klęski. Grupa druga: wrzesień 1939, Polska; tragiczna kampania, szosa zaleszczycka; pierwsze rozczarowania. Grupa trzecia: październik 1939 — maj 1945, Niemcy, Austria, obóz jeńców; owoc klę-

ski: niewola, próba rozumu politycznego. Grupa czwarta: od maja 1945, Niemcy, Włochy; Europa powojenna z nurtującymi ją sprzecznościami, armia Andersa, horoskopy polityczne; bezdroża emigracji, ferment; co robić? Grupa piąta: powrót do kraju, nauka wyciągnięta z wielkiej klęski, bilans obrachunków z sanacją.

Nowele te łączy nie tylko owa kanwa historyczna, zaznaczona z isie kronikarską ścisłością i systematycznością, ale również, jak się zdaje, z małymi odchyleniami w tonie „Przed świtem” — osoba narratora, która nawet w tych nielicznych wypadkach, kiedy wciela się w inne postacie, czyni to w sposób tak dziwny, że trudno chwiliami odróżnić młodą szwaczkę z „Maison Wimplova” od podchorążego z „Wina” lub „Garnizonu nad granicą”. I trudno oprzeć się kuszącej insynuacji, że obie książki posiadają charakter autobiograficzny... przynajmniej z punktu widzenia narratora.

Jest to jednak pamiętnik szczególnego rodzaju. Pamiętnik — na pozór przynajmniej — nie o sobie. O losach swoich informuje narrator raczej mimochodem, jak świadek, wyjawiający okoliczności, w jakich ujrzał wypadek uliczny. Inaczej: nar-

rator nie jest głównym bohaterem, a obserwatorem i sprawozdawcą. Ale absolutny obiektywizm obserwatora i sprawozdawcy jest fikcją — i to nie tylko w konwencji literackiej. W proporcjach i hierarchiach opisu zawarty jest stosunek do rzeczywistości przedstawianej. I dlatego opis mówi także o narratorze: nowele Zielińskiego, o dyskretnie szeptanej postaci narratora, zawierają w sobie podkórny nurt, który nazwacby można pamiętnikiem z okresu ideowego dojrzewania czy przełomu. Stąd w utworach o aktualności bardzo palącej, jak cykl niemiecki czy włoski, materiał posiada charakter wyraźnie przesłankowy; stąd w utworach tych piętno publicystyki, przyciszzonej i dyskretniejszej, sugerującej wnioski nie zawsze jednoznaczne i nie zawsze należycie uargumentowane. W momentach szczególnie ważnych ingeruje narrator bezpośrednio, a wnioskiem jest jego decyzja życiowa. I ton końcowy tomu „Przed świtem” — powrót do kraju — to wniosek nadzwyczajny, konsekwencja ostateczna, kres tułaczki w znaczeniu dosłownym i przenośnym. Tułacz ideologiczny zrozumiał nieodwracalność procesów historycznych i zaakceptował ich wyniki. Emigrant powrócił do Polski, w której Franuś Pulut gospodarzy

na własnej ziemi. Epopeja, która była tragifarsa, musiała się przedrzeć przez późniejszą fikcję.

Dzięki tej jednolitej tematycznej i konsekwencji kompozycyjnej nowele Zielińskiego, zawierające spory materiał historyczny z okresu minionych lat dziesięciu, stanowią w sumie coś w rodzaju szkiców do wielkiej monografii powieściowej o sanacji i tzw. orientacji zachodniej. O ich flakus, i jeszcze — rozczarowaniu do nich.

Wszystkie niemal opowiadania obu tomów pisane są w osobie pierwszej. Ta naczelną zasadą budowy narracyjnej określa nie tylko ich osłobliwość formalne, ale także wydatnie kształtuje ich fizjognomię ideologiczną.

Skutki narracji tego typu są znane. Po pierwsze podporządkowana osobistemu doświadczeniu narratora organizacja materiału powieściowego. Po drugie — brak bezpośrednich analiz psychologicznych osób trzecich. Są to jednak skutki *pozornie tylko formalne*. Bo rezygnacja z konwencji wszechwiedzy autorskiej oznacza zacieśnienie obrazu świata albo w najlepszym razie ujmowanie jego pełni w formułach deklaracyjnych-pojęciowych, co w efekcie daje jedno i to samo.

Pierwsza z brzegu nowela z tomu „Dno miski” jest utworem dość pod tym względem reprezentatywnym, choć w swolm tonie zasadniczym odbiega od reszty utworów Zielińskiego. „We mgłę wrześniowej”, jak sam tytuł wskazuje, traktuje o tragicznych dniach klęski. Narrator — młody podchorąży, uczestnik walk, dostający się w końcu do niewoli niemieckiej, powiada o sobie: „Czuje się, jak pijany człowiek w gęstej mgłę... Nie widzę nic poza ogniem kapitańskiego konia”. Słowa te z całą słusznością mogłyby odnieść nie tylko do jednorazowej sytuacji, ale do całego swego doświadczenia społecznego. Nie widać nic poza ogniem kapitańskiego konia — to przecież naczelną założenie sanacyjnej pedagogiki wojskowej, głoszącej „apolityczność” wojska, a mającej na celu uczynienie zeń powolnego narzędzia klas rządzących. Ze szkół sanacyjnych wyszedł narrator — i w obliczu klęski stanął bezradny i zagubiony w wirze wielkich wydarzeń, których tragizm aż nazbyt boleśnie odczuwa na własnej skórze, lecz których sensu i przyczyn pojąć nie jest w stanie. Narrator — to taki sam rekwizyt klęski, jak kadłub rozbitego czołgu. Czy może zatem dać świadectwo, całej prawdzie klęski, ukazać jej mechanizm, obnażyć jej skomplikowane sprężyny? Bynajmniej. Czy, wobec tego, „We mgłę wrześniowej” nie mówi o tamtych dniach? Mówi — i to dość sugestywnie. Jej wartość polega nie na głębi, lecz mocy obrazu. Tak wzrusza opowieść naczelnego świadka, posiadająca oszałamiającą wymowę prostego faktu, choć świadek nie orientuje się w motywach popełnionej zbrodni. Założenie tego rodzaju utworów — to konwencja podwójnego dokumentu. Dokumentem jest tu nie tylko to, o czym w utworze mowa, ale także sam narrator. W cudzość ujęto nie tylko świat, ale także sposób jego widzenia. Tak wstrząsa czytelnikiem narrator Borowski, rozmawiający jakby nigdy nie z pożarczem ludzkiego mózgu, podległy surowym rygorom „kamiennego świata”, obojętny na upodlenie i śmierć człowieka; on także jest dokumentem zbrodni faszyzmu, deprawującego duszę ludzką. Tak szokuje czytelnika narrator Zielińskiego, kiedy w zgodnym chórze oficerów andersowskich wola, że „powrót do kraju — to zdrada”. Ale też tu leży poważne niebezpieczeństwo — zezłaznienie się na pozycje naturalizmu. Bo wymowa dokumentu jest wymową drogowskazu bez napisu — wskazuje kierunek, ale nie wiadomo, dokąd. Dokument jest wieloznaczny, właściwego sensu nabiera dopiero w towarzystwie komentatorskiego podtekstu. Dokumentaryzm Borowskiego odwoływał się do osobistych doświadczeń okupacyjnych oficerów. Naiwnym mentorstwem byłoby tłumaczyć, że palenie ludzi w krematoriach lub fabrykowanie z ich skóry abażurów zasługują na potępienie. A przecież i tam, w tej beznamietnej, choć tłumaczącej się jasno relacji, odczuwaliśmy brak komentatora. Świat nieskommentowany napawał pesymizmem.

Szereg nowel utrzymanych jest u Zielińskiego w konwencji podwójnego dokumentu. Raz nawet osiąga ona swój kształt klasyczny: forma stylizowanego pamiętnika („Dzień za dniem”). Niekiedy nad stylizator bierze górę człowiek niosący swą wiedzę i doświadczenie, drapeira przyska, cudzość ujęcie miejsce dosłowności, żarliwej lub intymnej. Dzieje się to tam, gdzie narrator daje upust swemu temperamentowi satyrycznemu oraz w finale „Zmierzchu”, zawierającym decyzję powrotu do kraju. I tutaj sens ideologiczny jest klarowny, nie budzący na ogół wątpliwości, choć — jak zobaczymy niżej — nieco w swej argumentacji ograniczony. Są jednak fragmenty, oscylujące na śliskiej granicy między cudzoświatem a dosłownością, co świadczy o niepełnej jeszcze krystalizacji ideologicznej.

Narracja w pierwszej osobie — wypróbowane narzędzie ukazywania rozdartego, skłóconego wnętrza bohatera burzącego z okresu schyłku — jest klasyczną formą prozy psychologicznej, u której podstaw leży rezygnacja z wielkiej syntez społecznych na rzecz subtelnych aż

do pedanterii analiz przeżyć wewnętrznych jednostki. Ale psychologizm, stosowany konsekwentnie, rodzi swoje przeciwności — behaviorizm, który jest niczym innym, jak odwrotną stroną tego samego medalu. Oba spełniają podobną funkcję i wypływają z jednego źródła. Pierwszy stwarza fikcyjne związki przyczynowe, oparte na subiektywnych podstawach jednorazowego przeżycia, drugi w ogóle związków przyczynowych nie daje, zastępuje je efemerycznymi zależnościściami funkcjonalnymi między psychiką a postępowaniem człowieka. I jeden i drugi nie wyjaśnia człowieka i świata, lecz usiłuje stworzyć sugestię jego chaotywności, przypadkowości, zasadniczej niepoznawalności.

Zieliński, o którego narrator nie jest bohaterem czyli po prostu nie wiele o sobie mówi, reprezentuje z konieczności typ prozy „behaviorystycznej”, czasami wręcz pod tym względem programowej, jak np. opowiadanie „We mgłę wrześniowej”, odznaczające się ascetycznym tokiem kronikarskiego sprawozdania. Nie ma to chyba jakichś głębszych podstaw filozoficznych. Działła tu najprawdopodobniej tendencja „dokumentarystyczna”, zmierzająca do chłodnej rzeczowości tacytowskiego ideału historyka, w której być może, znajduje swoje oparcie niepełne jeszcze skrytalizowana ideologia i — mówimy bez insynuacji — niewielkie doświadczenie pisarskie. Powiedzmy odrazu: pełnego, realistycznego obrazu człowieka nie można na tego rodzaju zasadzie skonstruować. Bo realizm wymaga ścisłej motywacji, a umotywowac stopniowanie człowieka można tylko przez pryzmat jego psychologii. W przełomnym wypadku albo w zupełności z motywacji zrezygnujemy albo stworzymy marionetkę, w której połączymy za okrośną nitkę powołuje określony gest. Kapłana Słomczyńskiego z „Castel di Tana” znamy jedynie z kilku wypowiedzi oraz kilku wzruszeń o zasadniczych faktach jego biografii.

Wiemy, że wśród oficerów andersowskich należał do skrajnej reakcji, że „ciągle wietrzył” spisek antyrządowy. A uzasadnienie? Oto ono: „Zdaje się, że pod Łowiczem czy gdzieś tam obok miał majątek, a może tylko dzierżawę”. Motywacja klasowa losu i sposobu myślenia człowieka. Uchwycione niewątpliwie trafnie, ale w danym wypadku niewystarczająco: mamy bowiem gotowy, dokonany skutek i znamy przyczynę — ale tylko deklaracyjnie. Nie widzimy natomiast procesu przetwarzania danego stanowiska klasowego w charakter, psychologię określającą z kolei losy bohatera.

Przez oba tomy Zielińskiego przesuwają się cała galeria typów, jak Słomczyński, reprezentujących sfery wojskowe sanacji. To oni — bezpośredni sprawcy klęski. I w nich właśnie godził się wściekły satyryczny, tym groźniejszy, że występujący w swej osobliwej formie — grotesce. Ta ostatnia, jeśli spełnia funkcję satyry, nie należy do typu budującego, pouczającego, zmierzającego do naprawy wad przez ich wytknięcie i osmieszenie. Groteska mówi o lichocie i małolaci skazanych na nieodwołalne na zagładę. Jest satyrą totalną, przypiętowaną zgon, nie wskrzeszającą; kamieniem grobowym na którym wypisano blażeńskie epitafium. Jeśli zabija, czyni to przez napiętnowanie stygmatem bezsensu, który używa dzięki zburzeniu ustalonych hierarchii świata, deformacji jego normalnego wyglądu, złośliwemu zamoczeniu perspektyw. I na tym polega największa siła, ale też pewnie niebezpieczeństwo groteski.

Najczęściej występuje ona u Zielińskiego w nowelach oboczowych. I nie dziwnie, gdyż tutaj najłatwiej było znaleźć źródło efektów deformujących. Szeroka platforma deformacji jest sam obóz z swymi realiami życia codziennego, tak różnego od życia na wolności. Sanacyjni dostojnicy wojskowi, którzy w oflagu — będącym symbolem ich własnej hańby, następstwem ich własnej polityki — zachowują całą butę i pyszałkowatość wychowanków legionów, którzy z gracją, jak na parkiecie przyszłościowej „Adrii”, podzwaniają ułaskimi ostrogami, noszą dia szczyku drewniane szable, organizują instytucje o skomplikowanych nazwach, gdzie z dumą i powagą piastują urzędy, przestrzegają dawnych hierarchii politycznych i zasad oficerskiego kodeksu honorowego — stanowią w groteskowym skrócie syntezę sanacji i zarazem jej historyczny osąd. Słowa i gesty tych ludzi wypływające z obyczajowości i sposobu myślenia obozu politycznego, który — pożałujcie — reprezentują, wykonywane w warunkach oflagowego bytu, stają się obiedne i bezsensowne. Sparafrazujemy słynne twierdzenie Hegla: „Wszystko co nierozumne jest nieczyste”. Oto „siła fatalna” groteski, skazująca bankrutów na śmierć.

Ta właśnie logiczna kontynuacja zasadniczej postawy człowieka w zmieniających warunkach sprawa, iż nowele Zielińskiego stanowią na tle naszej literatury obozowej pewien wyłom, powiedzmy odrazu — w kierunku szustym. Co prawda, autor nasz reprezentuje specyficzny odłam tej literatury, literatury oflagu, której, jak wiadomo, były igraszka w porównaniu z obozami masowej zagłady. Niemniej zagadnienie socjologii obozu i w tym wypadku zachowuje całą swą aktualność. Jak wyglądało ono w literaturze dotychczasowej? Dwa skrajne wypadki: Borowski — Andrzejewski. Pierwszy leży ustalono hierarchie ludzkiego

postępowania i współżycia w imię kawałka chleba lub łyżki zupy. Bohaterowie jego wypadli z kręgu społecznych prawidłowości, a czynami ich rządziła prawa czysto biologiczne. Drugi dokonuje tego samego, choć w imię jakichś uniwersalnych i odwiecznych zasad moralnych, łączących ludzi w obliczu samotności i śmierci. Obaj niwelują w psychologii ludzkiej to, co jest wynikiem określonych stosunków społecznych, tradycji kulturalnej, sprowadzając je do psychologii do wspólnego pnia praw powszechnych: biologii i metafizyki. Jest rzeczą niewątpliwą, iż obóz był swoistą próbą człowieka, że burzył i przełamował światopogląd. Ale charakter tych przełomów określały czynniki zgoła inne niż kromka chleba lub łyżka zupy. Bo jeśli nawet rządził człowiekiem brutalny mus biologiczny, to działał się to na tle kryzysu pewnego typu moralności. Komunisci umierali z pięścią na ustach. Zieliński uniknął błędów Borowskiego i Andrzejewskiego. Hierarchie społeczne jego obozu są hierarchiami rzeczywistymi, historycznymi. Jego socjologia nie jest mitologiczną konstrukcją, lecz kategorią dziejową. Oficerowie sanacyjni pozostają nimi nawet w obliczu upragnionej miski jada. I nawet wtedy kiedy są psychopatami. Obóz jak gdyby ukazuje ich rzeczywiste oblicze. Rezultat, jak wiemy, jest groteskowy.

Jest jeszcze drugi aspekt groteski. Groteska o — mówiąc patetycznie — uniwersalnym podkładzie światopoglądowym. Tej nie wystarczy już zabijanie bronią bezsensu jakiejś poszczególniej kategorii zjawisk. Ta deformuje i niweluje wszystko. Dziecko wylewa razem z kapelą. A znaczącą piętnem bezsensu cały świat, nabiera charakteru tragizmu, makabrycznej bufonady potępieńców. Przypomina wtedy znany dowcip o Jasu i oderwanej nodze bratraczka... U Zielińskiego ten typ groteski bazuje najczęściej na psychopatologii — infantynie, jak u wujka Zakrzewskiego, kolekcjonera kolorowych papierków, ponurej, jak u Anatola mordującego na murze swój własny cień. Oto niebezpieczeństwo groteski, która łatwo może się przelotczyć w narzędzie negacji — kosmicznej. I to nawet tam, gdzie posiada wszelkie pozory radości życia, gdzie stanowi jak gdyby odtrutkę bezinteresownego śmiechu na nędzę ludzkiej doli („Dwie Wiosny”, „Amer Ploem”). Przywodzi bowiem na myśl tzw. wilelszy humor... Jedno jest pewne — „filozoficznym zapalcem” groteski jest poczucie bezsensu, funkcja — negacja. Ale negacja — czego? I w imię czego? U Zielińskiego groteska jest symptomem przełomu: świat z którym bierzemy się rozprut, wydaje się groteskowym. Kierunek przełomu znamy. Pamiętnik narratora ma mocny i niedwuznaczny finał: powrót.

Wracamy do punktu wyjścia: narracja w pierwszej osobie, dokumentaryzm, antypsychologizm. Główna konsekwencja — braki motywacji. Proza Zielińskiego jest prozą symptomów, co stępią jej ostrze krytyczne, zabuza arsenal argumentów.

Rozumujemy jak wolterowski Prostack. Dlaczego sanacja zasługuje na potępienie? Bo spowodowała klęskę. Dlaczego spowodowała klęskę? Bo niedbała należeć do stan obywatelskiego, bo wojsko było źle wyposażone, a dowódcy popospiłymi idiotami. Bo byli w Polsce tacy generalowie od siedmiu boleści, jak ten z „Defilady”, który utrzymywał, że „broń pancerna nie ma czego szukać na naszym terenie”; bo byli tacy pułkownicy, jak ten z „Garnizonu nad granicą”, którzy w okresie najbardziej naprężonej sytuacji dbali raczej o drzewa w ogrodzie i ptaszki, niż bezpieczeństwo swej placówki; bo byli tacy wysocy dygnitarze państwowi, jak ten z „Maison Wimplova”, którzy zamiast sumiennie spełniać swe obowiązki służbowe robili się eleganckimi lizusami do kołankami. Bo byli wśród sfer rządzących ludzie zasłепieni, głupi, tchórzliwi, hulawscy i dli. Lecz to wszystko są tylko symptomy. Takich ludzi wychował i wysunął na czoło życia kraju system, broniący czyichś bardzo określonych interesów klasowych. A Zieliński tego nie ukazał lub jeśli ukazał, to w formie czysto — jak w wypadku kapłana Słomczyńskiego — deklaracyjnej. I stąd wniosek prosty, że sanacja — to tylko kiepski polityk.

Tak brak głębszych umotywowani społecznych zakreślił granicę krytyki.

W opowiadaniu „We mgłę wrześniowej” bohaterowie, ujęci w niewolę, w oczekiwaniu wyroku śmierci z gorzycą rozważają przyczyny klęski. Dreczące pytania: kto winien i dlaczego? pozostają właściwie bez odpowiedzi. I nie wystarczy, że też odpowiedział na nie autor dwoma tomami swych nowel. Miska przypomina bezczelny Danaid — jej dno pozostało niezgłębione.

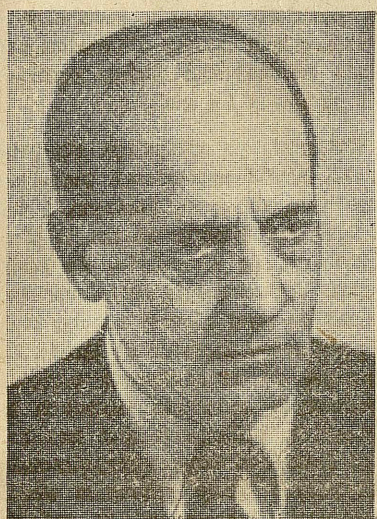
Alle zastrzeżenia te, dokonane w oparciu o kryteria bardzo maksymalistyczne, bynajmniej jeszcze nie dyskwalifikują. Jeśli je stosujemy, to dlatego tylko, że przedmiot na nie wcale pełni zasługę. Zieliński umie patrzeć szybko, chwytając typowe rysy zjawisk i ludzi oraz — zaleta nawet wśród pisarzy nieczęsta — pisać. Niejedną jego utwor jest małym arcydziełem kunsztu nowelistycznego.

LUDWIK FLASZEN

*) St. Zieliński: „Dno miski”. Książka i Wiedza, 1950.
St. Zieliński: „Przed świtem”. „Czytelnik” 1950.

BRONISŁAW CÍRLIĆ

HISTORIA PEWNEGO POWSTANIA



Ludmił Stojanow

HISTORIA pewnego powstania — to podtytuł powieści „Mehmed Sinap” pióra pisarza bułgarskiego Ludmił Stojanowa*), opiewającej dzieło powstania, które pod koniec XVIII w. ogarnęło prawie całą europejską część imperium otomańskiego.

Rok 1792. Na tronie tureckim zasiada wówczas sułtan Selim III, zwolennik ostrożnych reform, który przejął w spadku po poprzedniku wojnę z Rosją zakończył niekorzystnym dla Turcji pokojem w Jassach. Po europejskiej części imperium grasują grupy dezertów, całe oddziały i pułki rozbitych, nie regularnie opłacanych lub wcale nieopłacanych, rozgorzeczonych żołdaków, którzy rabują i grabią na własnym terytorium. W 1793 r., kiedy we Francji dochodzi do władzy jakobini i Konwent wydaje dekret o zniesieniu pańszczyzny, Selim III ogłasza projekt reformy wojska i administracji państwowej. Do Konstantynopola przybywają francuscy specjaliści i instruktorzy. Reformy te jednak nakładają na „raja” (nie-mahometańskich poddanych w Turcji) oraz szarych ludzi — muzułmanów nowe daniny. Były one źródłem publicznego manifestowania niezadowolnienia, rebelii i buntów. Panowie tureccy i janczarowie, wspierani przez kler muzułmański, zresztą i umiejętnie skierowujący przeciw reformom i sułtanowi ogólne niezadowolnienie, które pod nazwą ruchu kirdzalskiego objęło cały kraj, rozsławiają państwo tureckie od wewnątrz przez blisko pięćdziesiąt lat. Spośród przywódców tego ruchu szczególnie wyróżnił się Dertli Mehmed, Kucuk Hasan, Issaoglu, Manaf Ibrachim, Kara Feiz, tytułowy bohater powieści Stojanowa, Mehmed Sinap i wielu innych. Po nad nich zaś i zbuntowanych baszów — gubernatorów i generałów gubernatorów poszczególnych okręgów i prowincji wyrasta Osman Fazwanoglu (1758 — 1807) rodem z Bośni, wielkorządca, budzący strach i grozę w sercach ludności tureckiej, u którego służył też w swoim czasie i Mehmed Sinap. Ów Fazwanoglu zmienił skórę: to kandydował do tronu sułtańskiego, to znow jako pokorny sługa sułtana walczył o „własność, wiarę i jedność państwa”. I on przywłaszczył sobie język Rewolucji Francuskiej, głosząc hasła rzekomych swobód i równości dla wszystkich obywateli imperium otomańskiego. Raj bui-

garską pozyskał sobie zniesieniem poddańców na rzecz sułtana, nie zwalniając jej jednak od znacznie większych i cięższych haraczy i danin feudalnych; Turków i ulemów — duchowieństwo muzułmańskie — obietnicą wygnania nizamów — urzędników cesarskich; zbuntowane zaś wojsko — organizowaniem wypraw łupieżczych i podobnych. Stał on na czele zgrai awanturników i rabuszy, którzy rozsmakowali się w grabieżach. Z 12 tysiącami żołnierzy zamknęli w twierdzy widwiskiej, zbudowanej według najnowszych ówczesnych wymogów sztuki wojennej przez polskich inżynierów, których tam losy rzucił po nieudanej powstaniu kościuszkowski, sześć miesięcy stawał czoła armii sułtana, liczącej 100.000 żołnierzy, 15 okrętów i 40 dział armatnich.

Na takim tle historycznym rozgrywa się akcja powieści „Mehmed Sinap”. Do dzieł tych czasów i buntowniczych zmagani pod Mehmedem Sinapem sięgnął Ludmił Stojanow w czasach szalejącego terroru monarcho-faszyzmu w Bułgarii i zaostreżenia cenzury datującego się od 1932 r. Cenzura ta była bezwzględna, gdy chodziło o postępowych i bojowych pisarzy, w których pierwszych szeregach kroczył i Ludmił Stojanow.

Ezopowy język „Mehmeda Sinapa” miał czytelnika bułgarskiego przygotować do zmagani w przyszłości, pomóc mu we właściwym zrozumieniu teraźniejszości i zmobilizować go do walki z terrorem i wyzyskiem, a dla ówczesnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę, ale jakże często są powolnym narzędziem w ręku reakcyjnych dyktatorów Bułgarii miał być groźnym memento. Śięgając w odległą przeszłość Ludmił Stojanow skutecznie odparł ataki cenzury, dając jednak w historycznym komentarzu oskarżenie epoki sobie współczesnej. Okoliczności uciśku i dławienia wolności słowa zmusiły go do kombinowania, posługiwania się skrótami, manewrowania słowem i obrazem. Nielatwa to rzecz, tym bardziej, że autor wybrał jeden z nader skomplikowanych wyników dzieł własnego narodu i równocześnie imperium otomańskiego. Powstający walczą o słuszną sprawę,

TADEUSZ OSTROWSKI

ŚWIETLICE w PGR-ach

Rosnie sieć świetlic, bibliotek, przedszkoli i żłobków w państwowych gospodarstwach rolnych województwa szczecińskiego.

W świetlicach tych — kuźni socjalistycznego wychowania robotnika rolnego — powstają coraz to nowe zespoły choralne, dramatyczne, orkiestralne, taneczne, zespoły samokształcenia i dobrego czytania, kursy nauki początkowej i ludowe zespoły sportowe.

Rok 1949 przynosi poważne osiągnięcia zarówno pod względem rozwoju zespołów artystycznych, kursów języka rosyjskiego, dobrego i planowego czytania, jak i zainteresowania życiem świetlicy ze strony robotnika rolnego i jego rodziny.

Ilustrują to najlepiej cyfry. Kiedy na przykład w 1948 roku istniało w państwowych gospodarstwach rolnych woj. szczecińskiego zaledwie 219 świetlic i to tylko urzędowych i wyposażonych, a księgozbiory wynosiły nie wiele więcej jak 4.200 tomów, to w chwili obecnej jest już czynnych 575 świetlic ze 170 zespołami teatralnymi, tanecznymi, choralnymi i orkiestralnymi, 180 bibliotek, liczących ponad 18 tysięcy książek.

Poważnym również osiągnięciem jest racjonalizowanie około 200 świetlic, co znacznie wpłynęło na ich ożywienie.

Ponadto zorganizowano 295 kursów nauki początkowej, obejmujących ponad 6.500 robotników rolnych, 32 kursy samokształcenia, 52 kursy języka rosyjskiego, 90 komitetów reakcyjnych gazetek ścienne, które wydawały w ub. roku ponad 300 gazetek, obrazujących osiągnięcia produkcyjne robotników, wyniki współzawodnictwa pracy i racjonalizatorstwa w rolnictwie.

Powstanie w PGR-ach tak znacznej liczby kursów języka rosyjskiego, świadczy o coraz bardziej rosnącym zainteresowaniu życiem, i osiągnięciami naszego wielkiego sojusznika, świadczą o rosnącej sympatii mas robotników do Związku Radzieckiego.

Jak wszechstronny charakter przybrały formy prac świetlicowych dowodzi chociażby to, że w ciągu 1949 roku odbyło się w świetlicach PGR okręgu szczecińskiego ponad 2.400 prelekcji (odczytów, pogadek i referatów) na tematy ściśle związane z wydarzeniami w kraju i za granicą, ruchem w obronie pokoju, różnymi rocznicami itp.

Rosnie też z każdym dniem zainteresowanie robotników rolnych naszą i radziecką literaturą.

Robotnik rolny, interesuje się już nie tylko dobrą powieścią polską czy radziecką, dobrą sztuką, lecz i książką fachowo-rolniczą.

O wysokim poziomie, jaki osiągnęły niektóre zespoły artystyczne, świadczy zespół świetlicowy PGR

Witnica, który posiada bardzo dobrą orkiestrę dętą.

Świetnie opracowane widowisko „Szosa Wołkołamska” dał zespół z Karska, sztuką „Przyjmujemy o 8.30”, wystawił zespół PGR Legi.

Takich zespołów jest więcej. Są one w państwowych gospodarstwach w: Sitnie, Śniatowie, Suliszewie, Grzmieję, Korytowie, Skarbimierzach i wielu innych.

Tyle o osiągnięciach. A teraz choć parę słów o ludziach, którzy mają czuć nad tym, aby świetlice PGR-owskie były kuźnią wychowującą człowieka do nowych zadań w życiu naszego kraju.

Wielu jeszcze kierowników świetlic — co z przykrością trzeba stwierdzić — nie stało na wysokości zadania, nie posiada często dostatecznego przygotowania ogólnofachowego, a nawet ideologicznego. To jedna bolączka, a druga? Druga — to jakże często jeszcze spotykane niechętnie ustosunkowanie się do kierowników świetlic dyrektora zespołu, administratora czy rzadcy.

I dlatego Związek Zawodowy Robotników i Pracowników Rolnych musi zwrócić więcej uwagi na ten odcinek pracy, jakim są świetlice w życiu robotnika i jego rodziny.

I tępić bez litości przejawy zlej woli, czy też braku zrozumienia ze strony ludzi, którzy starają się utrudniać jakże piękną, choć ciężką i niewdzięczną pracę kierowników i kierowniczek świetlic.

Element ludzi, zatrudnionych w państwowych gospodarstwach rolnych województwa szczecińskiego, jest bardzo różnorodny, składający się z robotników folwarcznych, chłopów bezrolnych i chałupników z Polski centralnej, z reemigrantów z Niemiec i Francji, z ludzi z Bugu i autochtonów. Jest to jednak element bardzo dobry, choć słabo jeszcze wyrobiony.

Trzeba rozłożyć opiekę nad tymi robotnikami, stworzyć im nie tylko lepsze warunki mieszkaniowe, lecz dać godziwą rozrywkę kulturalną — oświatową, włączyć do świadomej, twórczej i pozytywnej pracy dla dobra mas pracujących, dla przebudowy wsi polskiej.

W tym celu we wszystkich zespołach, przy rolnych radach zakładowych winny być powołane komisje kulturalno-oświatowe, a w każdej świetlicy powinien być wybrany samorząd świetlicowy, co znacznie ułatwiłoby kierownikom świetlic ich pracę.

Czas najwyższy, aby dyrekcje zespołów i kierownicy poszczególnych gospodarstw zrozumieli, że odcinek pracy kulturalno-oświatowej jest nie mniej ważny od odcinka pracy produkcyjnej, który w dużej mierze zależy od żywności świetlic, tej kuźni socjalistycznego wychowania nowego człowieka, jakim w ustroju demokracji ludowej ma być robotnik rolny.

TADEUSZ OSTROWSKI

Czytelnictwo gazet i czasopism

Jak przedstawia się w świetle liczb „upowszechnienie” czytelnictwa prasy? Mieliśmy w Polsce w roku 1939 ponad 35 milionów mieszkańców. Nakład wszystkich dzienników (było ich 184) wynosił wówczas około 900 tysięcy egzemplarzy. Przypadał więc 1 egzemplarz na 40 mieszkańców. Dziś łączny nakład dzienników (38) doszedł do 4 milionów 600 tysięcy (w czym na prasę PZPR przypada ponad 3 miliony 800 tysięcy egz.). Obecnie mamy zatem 1 egzemplarz gazety na 5 mieszkańców. Z powyższego wynika, że „zaangażowanie” prasy codziennej jest teraz 8-krotnie większe niż przed wojną. Przyjmując, że każdy wydany egzemplarz gazety posiada przynajmniej 1 czytelnika (a wiemy, że często bywa ich więcej), należy stwierdzić, że upowszechnienie czytelnictwa gazet dzisiaj ma zasięg przeszło 5 razy większy niż przed wojną. Znamienne jest, że przełomowym rokiem dla rozwoju prasy (codziennej i periodycznej) był r. 1949. Gdy chodzi o periodyki, to przełom ten charakteryzuje się wzrostem nakładów w r. 1949 w stosunku do r. 1948 aż o 70 proc. (w kwietniu br. ogólny nakład czasopism osiągnął prawie 6 milionów egz., a przewiduje się do końca 1950 r. dalszy wzrost jeszcze o blisko 36 proc.).

Jeżeli zsumujemy obecnie nakłady gazet i czasopism i z otrzymaną w ten sposób liczbą 10.600.000 egz. porównamy prenumeraty wiejskie prasy codziennej i periodycznej, to okaże się, że wieś otrzymuje w prenumeracie 35 proc. całej produkcji. Wskazywałoby to na to, że na 1 mieszkańca wsi przypada ponad 1,5 egzemplarza prasy, a na 1 mieszkańca miasta nieco mniej niż 1 egzemplarz. Widać z tego, że zasięg prasy na wsi w porównaniu z miastem jest dużo słabszy, a więc, że ludność wiejska nie korzysta jeszcze w należytej mierze z bieżących, uświadamiających informacji, których źródłem jest prasa, zwłaszcza codzienna. Gdy jednak porównać obecny stan upowszechnienia prasy z przedwojennym, to widać także, jak imponująco przedstawia się dziś czytelnictwo prasy w całym kraju w stosunku do tego, co było w Polsce przedwojennej.

Czemu przypisać tę wręcz „rewolucyjną” dynamikę rozwoju prasy? Czym wytłumaczyć, że tygodnik kobiecy „Przyjaciółka” osiągnął 1 milion 800 tysięcy egz., a ukazująca się 3 razy w tygodniu wiejska „Gromada” — 1 milion 200 tysięcy egz.?

Czego dowodzi fakt, że gazeta o zasięgu jednego województwa („Trybuna Robotnicza”) mogła zdobyć nakład prawie pół miliona egzemplarzy?

Odpowiedzi na powyższe pytania należy szukać niewątpliwie w tym, na co tak silnie kładzie nacisk w NN 5 i 6/1950 „Nowej Kultury” St. Staszewski i R. Praga: w odbywającym się w kraju przewrocie kulturalnym, który aktywizuje masę robotniczą — chłopiecką.

St. Staszewski w artykule p.t. „O naszym planie wydawniczym” pisze: „Czytelnik robotniczy i chłopski czyta naszą prasę, pisuje do niej chętnie, zaciętnie z nią kontakt, gdyż odpowiada ona jego zainteresowaniom i potrzebom. Prasa zajmuje się tym, co dzieje się na świecie i w kraju; prasa krytykuje i walczy, znajduje drogę do czytelnika, ponieważ służy klasie robotniczej i chłopstwu pracującemu”.

R. Praga w artykule p.t. „Prasa nowego typu i ludzie nowej prasy” (Nr. 6 „Nowej Kultury”) powiada: „Prasa polska staje się prasą nowego typu, prasą nie tylko redagowaną dla robotników i chłopów, ale w coraz większym stopniu przez robotników i chłopów”.

Podobne wypowiedzi i opinie można znaleźć także u innych działaczy i publicystów oraz u niektórych autorów tzw. terenowych. Tak np. niedawno we „Wsi” (Nr. 10/1950) pisał bardzo ciekawie i sumiennie o pracach relacji o czytelnictwie prasy w swojej gminie nauczyciel z Rzeszowskiego, Fr. Grabowski. Autor ten podsumowując zebrane przez siebie liczby pisał: „Już w r. 1947 widzieliśmy nieznaczny wzrost czytelnictwa gazet. W następnych latach w stosunku do 1945 i 1947 r. czytelnictwo prasy wzrosło niebywale”. A dalej: „Wzrost pism robotniczych — mówi Fr. Grabowski — świadczy o tym, że wzrasta świadomość ideologiczna chłopów, że tylko wspólne działanie z robotnikiem da warunki do stworzenia lepszej rzeczywistości na wsi”.

S. T.

ANTONI MITURA

WZMOGLA SIĘ WALKA KLASOWA NA ODCINKU GOSPODARCZYM

Wzrost aktywności produkcyjnej i sukcesy gospodarcze, osiągane w naszym kraju, poważnie zaniepokoiły naszych wrogów ukrytych w różnych instytucjach gospodarczych, a nie rzadko i naukowych. Ci dawni kapitaliści, szurnicy i ich szluszyszy zrywający z walki. Wszelkimi sposobami próbują opóźnić wzrost dobrobytu, starają się podważyć nowe osiągnięcia socjalne mas pracujących.

Prezydent Bierut na Czwartym Plenum powiedział: „Zawarto nowy układ zbiorowy dla pracowników Państwowych Gospodarstw Rolnych, który unowocześnił stosunki pracy w PGR i dał robotnikom rolnym wszelkie uprawnienia, z których korzystają pracownicy przemysłowi, między innymi rozciągając na robotników rolnych dodatki rodzinne”. Jak to wprowadzają w życie niektórzy dyrektorzy P.G.R-ów? W zespołach PGR-ów w Kocku, województwo lubelskie, na zebraniu robotników PGR przedstawiciel administracji próbował obniżyć wynagrodzenie za pracę, starał się udowodnić, że robotnik zaliczony do kat. I po wprowadzeniu wynagrodzenia w gotówce nie uzyska żadnej podwyżki w stosunku do równowartości produktów rolnych dotychczas otrzymywanych, gdy w rzeczywistości różnica na korzyść robotników wynosiła około trzech tysięcy złotych miesięcznie. Energetycznie sprzeciwili się temu jeden z robotników. Wprowadziło to administrację w zakłopotanie. Zebrani robotnicy rozeszli się do domów. Dopiero po pewnym czasie przedstawiciel administracji zmuszony był przyznać, że rzeczywiście robotnicy uzyskują poważną podwyżkę, ale... już więcej tego uczciwego robotnika, członka Rady Zakładowej nie wpuszcza się na zebranie. Tak się jakoś dziwnie składa, że na czas zebrania zawsze wysła się go do innego majątku. W tymże Kocku na szkolenie wysła się synów, córki urzędników administracji, a nie robotników. Nie troszczy się o warunki mieszkaniowe robotników, ale administratorzy już mieszkają w czysto odremontowanym pałacu. Stracił już nadzieję na otrzymanie lepszego mieszkania właśnie ten aktywny, śmiały robotnik, co wystąpił w obronie swoich towarzyszy. Buty gumowe, buty filcowe w tym majątku sprzedaje się robotnikom dopiero na wiosnę zamiast na jesień. Radziecka maszyna do sadzenia ziemniaków, mimo tego, że oceniono jej zalety — nie została użyta do pracy, ale posłużono się pracą ręczną. Dotyczy to i innych b. dobrych maszyn, które stoją nie używane. Uczelwi, pracownicy robotnicy muszą pracować jak dawniej ręcznie. Cel takiej roboty — podważenie zaufania robotników do mechanizacji rolnictwa jako drogi unowocześnienia gospodarki rolnej i poprawy warunków ich bytu.

W pow. Sokołów-Podlaski od roku czasu brak wiań. Ludność powiatu żali się na to, że każdej sposobności, ale miejscowy PZGS tym się zbytnio nie przejmując. Wiader posiadamy przecież w Polsce pod dostatkiem, ale powinny one znaleźć się i w Sokołowie-Podlaskim.

Kilka dni temu na zebraniu obywateli gromady Gródek w pow. sokołowskim w obecności przewodniczącego P.R.N. ob. Jacowskiego, skarżono się, że Zarząd G.S-u w Jablonie utrudnia społecznej komisji kontroli wykonanie ich obowiązków sprawdzenia stanu spółdzielni.

W referacie swym na IV Plenum Prezydent R.P. Obywatel Bierut, podkreślał olbrzymie osiągnięcia gospodarze w dziedzinie rozwoju produkcji rolnej, powiedział: „Przy ogólnym pomyślnym przebiegu akcji siewnej, niedostatecznie szybko przebiega likwidacja ugorów. Władze miejscowe, organizacje partyjne i Związek Samopomocy Chłopskiej winny zorganizować wszystkie siły, aby wykorzystać pozostające jeszcze tygodnie dla maksymalnego wykonania planu likwidacji odogów”.

W tej sprawie została przeprowadzona szeroka akcja w bieżącym roku, lecz w praktyce duża część ugorów nie została zaorana i zasiana. Orka w tym czasie jest dość trudna i kosztowna z powodu suszy, a przecież można było zmobilizować siły i środki znacznie wcześniej i ugory zaorac i zasieć. Ktoś za to jest odpowiedzialny, że ugory leżą odłogiem.

Niektórzy „działacze” lub urzędnicy na wszelki wypadek pobrali sobie działki ziemi, a ponieważ pracują na stanowiskach — ziemi nie uprawiają, ale wykorzystują na pastwiska urodzajnej ziemi. Gdzie to jest? w powiecie warszawskim. Czy nie należało by przeprowadzić właściwej weryfikacji przydziału takiej ziemi?

W gromadzie Kropy pow. węgrowskiego ob. Kopeć Wacław utrzymujący żażyłe stosunki z bogaczami: 1) Karczewskim Stefanem s. Antoniego, posiadaczem 25 ha ziemi, 2) Wasowskim Stanisławem — 14 ha, 3) Jacewską Reginą — 11 ha, oskarża fałszywie sołtysa tejże wsi ob. Zdzieberskiego Adolfa o współpracę z okupantem, zły stosunek do biedoty wiejskiej w okresie sanacji — mścąc się za to, że tenże sołtys Zdzieberski Adolf nie zgodził się na fikcyjny podział gruntu przez bogacza Karczewskiego Antoniego i jego syna Stefana. W wyniku oskarżenia ob. Zdzieberski Adolf dostaje się do aresztu, a bogacze spokojnie knują swe spiski nadal.

Niektórzy profesorowie, znając jak wielkie korzyści w naszym rolnictwie mogłyby przynieść właściwe zastosowanie osiągnięć naukowych wielkiego radzieckiego ogrodnika i gleboznawcy Williama, starają się przekonać słuchaczy, że przecież William nie nowego nie wprowadził. Starają się udowodnić, że nie można podnieść procentu próchnicy w glebie, a tym samym nie można podnieść urodzajności gleby, wydajności pól z tej gleby.

Wsteczniństwo sprzyja się przeciwko klasie robotniczej, przeciwko uczciwym chłopom, biednym i średnioludnym idącym razem z klasą robotniczą do dobrobytu, do socjalizmu. Wykorzystuje instytucje społeczne do swej niecnej roboty, stara się podważyć zaufanie do Rządu Ludowego, do przodujących osiągnięć naukowych zwłaszcza uczonych radzieckich, próbuje jeszcze nas karcić średniowiecznymi wypocinami. — Za późno! Masz pracujących — ucziwiego kierownika instytucji gospodarczej od wroga — trzeba się tylko bliżej przysłuchać ich głosom, przyjść im z pomocą. Ale, aby tego dokonać, trzeba odsunąć się od biurka i znaleźć się na wsi, w GS-ie, w PGR-e, większym zaufaniem otoczyć prostego człowieka, a on nam powie prawdę.

Nieporównanie więcej jest w Polsce dobrze już pracujących gminnych spółdzielni i PZGS, jak również świadomych swej wielkiej społecznej roli administratorów PGR niż ci, których skądinąd piętnujemy. Podaliśmy je dlatego, aby uzasadnione zadowolenie i dumę z rzeczywistych, dla każdego widocznych sukcesów gospodarczych Polski Ludowej, nie usypiały nigdy czujności działaczy terenowych na wzmożone i perfidne nierzadko ataki wrogów klasowych na dobrocyte ludu pracującego w mieście i na wsi.

ANTONI MITURA

„BRAVO WILAMOWA”

Z Wilamowej, spółdzielni produkcyjnej II typu, w gminie Trzeboszowice, w pow. nyskim — mamy do zakomunikowania radośną wieść: oto mieszkańcy tej wsi wraz ze swym przewodniczącym, Władysławem Grabowskim, podjęli się rzeczy niezwykłej, uprost ryzykownej: obsiali 40 hektarów ziemi burakami cukrowymi. Trzeba sobie zdać sprawę, co to jest czterdzieści hektarów i jakiej pracy podjęło się pięćdziesięciu gospodarzy Wilamowej. Na jednego gospodarza wypadło 70 arów. Przerzykną, trzykrotnie pieknie, spulchniętymi, dokarmianymi też pracą — zdawałoby się — ponad siły, to istna bitwa o odcinek kultury, wycieków, kieszonki! Co więcej: dzielni mieszkańcy Wilamowej podejmują się nie tylko solidnej obróbki — pragną oni uzyskać niezwykły plon z owych czterdziestu hektarów.

W jaki sposób podolają tej olbrzymiej pracy?

Tylko drogą współzawodnictwa. Już wkrótce wyruszą w pole grupy kobiet, mężczyzn, młodzieży i podejmą współzawodniczą pracę. I na pewno osiągną sukces.

Henryk Worcell

PAN SKLEPIKARZ

(dokończenie ze str. 4)

Głos młotów, siekier od budowy, leciał daleko przez las do innych wsi, niosąc im zachętę do pracy dla dobra ogólnego.

Idące wozy z materiałami budowlanymi, piły, siekiery, młoty, liwary, kielnie jakby wzmowie śpiewają pieśń wolnej szerokiej ojczyzny:

Szeroka ojczyzna jest moja jak [świat]
I sięga wysoko do słońca,
A każda mi siostra i każdy mi brat,
Droga mi ich praca bez końca.

Nie jeden ojczyźnie mej szumi [dziś bór,
Nie jedna ojczyźnie gra rzeka,
Nie jeden ją wielbi hymnami [dziś chór,
Nie jeden doń tęskni z daleka.

Czyż zliczę miliony jej pszennych [dziś staj,
Czyż zmierzę w głąb żyznej jej [głębie?
Nie zliczę wagonów pedzających [przez kraj
Ładownych budulcem i chlebem.

Dziś dola szeroka ojczyzny jest mej [w ziarnie,
Z zarodkiem rozrostu jak [wziarnie,
Ty kuj, mój bracie, ty orz i siej [wziarnie,
Dziś nikt ci twych pólów nie [zgarbie.

Szeroko zabłiznia się wiele jej ran,
Których by wczoraj nie zmierzyl,
Szeroko ojczyzny mej szumi [dziś łan,
Szeroko mkną pieśni młodzieży.

Dziś siostra, brat każdy ojczyznę [ma zna
W jej prawych swych dzieciom [wyrokach;
Szeroką, szeroką ojczyzną jest ma,
Jak miłość ma dla niej szeroka!

SEWERYN SKULSKI

Miesięczne kursy kulturalno-oświatowe ZSCH

W celu jak najściślejszego powiązania nauczycielstwa szkół podstawowych na wsi z całokształtem prac kulturalno-oświatowych, prowadzonych przez ZSCH, Zarząd Główny ZSCH organizuje kursy wakacyjne dla tegorocznych absolwentów liceów pedagogicznych, kierowanych do pracy w szkolnictwie podstawowym na wsi.

Szkolenie odbywać się będzie od 10 lipca do 5 sierpnia br. w Wojewódzkich Ośrodkach Szkoleniowych ZSCH (Borówko Stare k/Poznań, Lubie Górne k/Głivice), w Uniwersytecie Ludowym (Głuchów Gródki, Pawłowice woj. kieleckie, Juchów woj. białostockie, Szyce k/Krakowa, Włocławek woj. śląsko-dąbrowskie) oraz w Wojewódzkich Państwowych Ośrodkach Szkoleniowych (Inowrocław, Szczecin).

W porozumieniu z Ministerstwem Oświaty Zarząd Główny ZSCH nawiązał kontakt z dyrekcjami liceów pedagogicznych, które dokonują wyboru 600 kandydatów na kursy.

Zgłoszeni przez dyrekcje liceów pedagogicznych kandydaci na kursy zostaną powiadomieni imiennie we właściwym czasie o miejscu i terminie rozpoczęcia kursu.

Nauka na kursach jest bezpłatna. Sluchacze otrzymują pełne wyżywienie i zakwaterowanie w internatach oraz zwrot kosztów podróży.

Program kursu przewiduje wykład i zajęcia praktyczne z zakresu form pracy artystycznej i oświatowej w świetlicach gromadek oraz przerobienie przykładowego nowego repertuaru dla zespołów teatralnych i muzycznych.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL, Redakcja Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wileńska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starwkieńska Nr. 7.
Tel. Ted. Nacz. 727-86. Tel. Redakcji 751-80 do 89, wewnętrzny 23 i 97
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAW. „OSW.” Z Y T E L N I K
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16

W warunkach prenumeraty: miesięcznie 30 — zł; kwartalnie 240 — zł; półrocznie 480 — zł; rocznie 960 — zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa 1-6341 z zaznaczeniem „za tvg. „Wies”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Osw. „Czytelnik”, Marszałkowska 375
B-110199

CECYLIA BRACH

Z LUBENI W ŚWIAT

W „Tygodniu. Oświaty. Książki i Prasy” idąc ulicą Bytomią spotykam dwóch uczniów z puszka zbiorowa, którzy mi się kłaniają. Widzę, że są to uczniowie Szkoły Przemysłowej. Nie mogę sobie przypomnieć skąd ich znam.

— Pani nas nie zna — mówi jeden z nich, Kalandyk, jak się dowiaduję — ale my wiemy, że pani mieszkała przed wojną w Lubeni.

— My jesteśmy z Obręcznej-Lubeni — objaśnia mnie Warzybok.

— A skąd się to wzięło? — pytam z ciekawością.

— Ten nauczyciel, co nas uczył przed wojną, jest teraz dyrektorem szkoły budowy maszyn w Bytomiu — informuje mnie Kalandyk. — On napisał do Nasti Wróbliny, u której w chałupie — w domu — poprawia się zmieszany — była przed wojną szkoła, jak my jeszcze nowej nie mieli — żeby powiedziała najbardziej szanowanym chłopcom, że mogą synów wysłać tu do szkoły.

— No i ilu was przyjechało? — pytam coraz bardziej z ciekawością.

— Jest nas tu czterech z Obręcznej-Lubeni. Dwóch Skowronów, ja i Warzybok — wylicza Kalandyk.

— A gdzie mieszkacie?

— Trzech nas jest w bursie T.P.D. a jeden u wujka, co wrócił z Francji. Mój ojciec też był w Francji górnikiem — objaśnia Warzybok — ale wrócił po wojnie, bo chcieli, aby przyjął obywatelstwo francuskie, a ojciec nie chciał się Polski wyrzec.

— To mówicie, że mieszkacie w bursie. Pewnie nie raz głodni jesteście — mówię, przypominając sobie, jak to bursy przed wojną karmiły swoich wychowanków.

— O! Nie! — zaprzecza żywo Kalandyk. — Jesteśmy pod dostatkiem, codziennie jest mięso — dodaje z satysfakcją, bo w domu pewnie rzadko je jadł. Nie dziwnego, dla dziesiątki osób, z trzech morgów pola razem z „baduniami” i ugorami, można to mięso gotować?

— Do szkoły dają nam cztery kromki z masłem, ze smalcem, lub z marmoladą — opowiada Warzybok.

— Ciekawam, ile rodzice za was placą? — dopytuje się.

— E, gdzie ta ojcowie mogą za mnie płacić? Jak nas jest ośiem

dzieci, ja jestem najstarszy, mam piętnaście lat, a najmłodsze się dopiero urodziło — śmieje się Kalandyk. — Ja sam placę — dodaje z dumą.

— Ty sam placisz? — powtarzam, dziwiąc się, skąd taki chłopiec może mieć pieniądze.

— My dostajemy pensję w szkole — objaśnia z radością Warzybok.

— Tak? A ile?

— W pierwszym roku sześć tysięcy, ale potem dostaniemy więcej — dodaje. — Ci na trzecim roku mają po dziesięć tysięcy, dostaliśmy też kombinowany robocze i kożuski, o te, co je mamy na sobie — pokazuje mi. — Teraz to nam jest ciepło — mówi zadowolony. Pewnie nierzadko zamarzał jak siedzi z Obręcznej do Lubeni, do siódmej klasy. To przecież trzy kilometry przez górę, po błocie, czy po gołedzi.

— Nie powiedzieliście mi jeszcze, ile placicie za bursę — przypominam.

— W bursie placę się od czterech do siedmiu tysięcy. Ile kto może. My należymy do najbardziej ubogich synów małorolnych, to mamy niższe.

— Jeszcze nam z pensji na czapkę studencką zostało i na książki — chlubi się Kalandyk, pokazując nową czapkę. — A później to i ojcom będziemy posyłać, bo im to ciężko. Bracia Warzyboka, już pomagają swoim.

— A gdzie oni pracują? Pewnie w Rzeszowie? — pytam.

— E, nie. To tylko przed wojną ludzie się bali daleko od domujechać, chyba że pojechali całkiem z kraju, jak mój ojciec. Przed wojną brak było dla swoich pracy w Polsce, to musieli obcym się wysługiwać — mówi z gorzka Warzybok. — A teraz każdy może pracować. Od nas dużo pojechało na Zachód.

Dwóch Warzyboków pojechało na „robotę” do Noskowie kolo Głogowa, na Dolny Śląsk. Nie był to już wyjazd „w poszukiwaniu roboty”, za którą się przed wojną chodzilo od wsi do wsi, był to wyjazd na określoną robotę w zakładzie przemysłowym.

— I pracują w cukrowni — opowiada śmiejąc się, uradowany tym, że Polska Ludowa dostarcza biednym zarobku. — Tamtego roku przywieźli coś półtora metra cukru.

— Widzę, że się ludziom poprawia życie. Wy też zadowoleni jesteście? — A kto by nie był? Przed wojną tacy biedacy jak my, nie mogli chodzić do szkoły, a jak na tysiąc uczniów dwóch synów chłopieckich się dostało to i tak nie mieli gdzie pracować po ukończeniu, bo było bezrobocie — mówi rozczulony Kalandyk.

— A my zaraz po ukończeniu szkoły dostaniemy pracę — dodaje Warzybok. — Ci co wyszli z tej szkoły, już zarabiają po dwadzieścia tysięcy. Toteż za stworzenie takich warunków jesteśmy wdzięczni Rządowi Polski Ludowej — kończy z przejęciem, podsuwając puszkę zbiorową.

CECYLIA BRACH